Bezpłatny dodatek do Nr 353 „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 39 — Kraków, czwartek, dnia 24 grudnia 1936 r.

IGNACY CHRZANOWSKI

„ŚPIEWY HISTORYCZNE“ NIEMCEWICZA

W roku 1816 wyszła w Warszawie książka, p. t. „**Śpiewy historyczne z muzyką i rycinami przez Juliana Ursyna Niemcewicza, sekretarza Senatu, członka Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Akademii Wileńskiej, Towarzystwa Nauk. w Krakowie, Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii i Towarzystwa Wojsk. w West-Point w Ameryce**“. Przeszło trzydzieści wydań liczy sobie dzisiaj ta książka; ostatnie ukazało się w Kijowie podczas wielkiej wojny — dla uchodźców.

Dzisiaj kto jeszcze te „Śpiewy“ czyta? Chyba tylko maleńka garstka badaczów przeszłości. Śpiewać — nikt już ich nie śpiewa. Tak, ale historyk literatury pominąć ich nie może, bo nie ma prawa do... fałszowania historii, do ukrywania tego faktu, że niegdyś były one na ustach całego mniej lub więcej wykształconego społeczeństwa.

„**Śpiewy historyczne**“ (na których czele umieścił Niemcewicz pieśń „**Bogurodzica**“) są to krótkie opowieści wierszem o czynach królów i znakomitych wojowników polskich. Wśród królów są wszyscy Jagiellonowie, wszyscy królowie elekcyjni aż do Jana III włącznie, a z Piastów, oprócz Piasta: trzej pierwsi Bolesławowie, Kazimierz Odnowiciel, Leszek Biały, Łokietek, Kazimierz Wielki; jest, rozumie się, także Hedwiga. Z wojowników są: Zawisza Czarny, Michał Gliński, Konstanty Ostrogski, Jan Tarnowski, Jan Zamoyski, Stanisław Żółkiewski, Karol Chodkiewicz, Stefan Potocki, Stefan Czarnecki i książę Józef. Wszystkich „**Śpiewów**“ jest trzydzieści dwa, albo dokładniej: „śpiewów“ dwadzieścia osiem, trzy „dumy“ (o Glińskim, Żółkiewskim i Potockim) i jedno „pienie żałobne“ (o księciu Józefie).

Myśl krzewienia w społeczeństwie polskim znajomości i miłości dziejów ojczystych za pomocą pieśni historycznych powstała w zacnym sercu Woronicza, który już w roku 1803, na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, domagał się ułożenia „pieśnioksięgu“, zawierającego w sobie, oprócz „pieśni religijnych i moralnych“, także historyczne. Po trzech latach, kiedy się z pieśniami historycznymi jakoś nikt nie zgłaszał, Staszic zwrócił się „z wezwaniem do narodowych wierszopisów, aby każdy wybrał jeden lub więcej“ z „główniejszych czynów obywatelskich, bohaterskich“ i „opisał go wierszem... na kształt **Dumy Żółkiewskiego**“. W rok później powrócił z Ameryki autor tej „dumy“, Niemcewicz, i on dopiero wezwanie Staszica spełnił — w swoich „**Śpiewach historycznych**“, które są kamieniem węgielnym jego sławy, jako poety, i jego bodaj czy nie największą zasługą narodową.

W żaden inny swój utwór poetycki nie włożył on tyle trudu, co w „**Śpiewy**“: z wyjątkiem elegii na śmierć księcia Józefa miał je wszystkie gotowe już w roku 1810, ale ogłosił je drukiem dopiero po sześciu latach, nie szczędząc (po raz pierwszy i bodaj ostatni w swoim życiu) gorliwej pracy nad zmianami pierwszego tekstu. Pragnął, żeby „**Śpiewy**“ przemówiły do jak najszerszych warstw społeczeństwa; dlatego to, z jednej strony, poprawiał treść, łagodząc, a czasem nawet zupełnie zacierając cienie przeszłości narodowej, tak, że zostawały same niemal jej światła, a z drugiej strony, pracował nad formą — w trosce o poprawność i czystość języka, o powagę i zarazem o prostotę stylu, tudzież o rozmaitość wiersza i strofy. Nie dosyć na tym. Pierwotnie, mając już dawno gotowe trzy „dumy“, zamierzał (a nawet już zaczął) pisać nowe „dumy“; niebawem jednak strzeliło mu do głowy, żeby pisać już tylko „śpiewy“. Biedny Niemcewicz! Bo i jakąż różnicę ustanowił sobie pomiędzy „dumą“ a „śpiewem historycznym“? Taką, że w „dumie“ „poeta, nie przymuszony trzymać się ściśle prawdy historycznej, bierze treść z dziejów, upiękni je wszystkimi omamieniami uczucia i imaginacji, miasto tego, co było prawdziwym, pisze to, co rozrzewnia, unosi, zachwyca“; tymczasem „śpiew historyczny“, „wkładając na piszącego obowiązek trzymania się prawdy, odejmuje mu najcelniejszą w poezji sprężynę, odejmuje mu imaginację“.

A więc sam Niemcewicz skazał „**Śpiewy historyczne**“ na odjęcie „najcelniejszej w poezji sprężyny“. Zresztą i w trzech dawnych „dumach“ (które na szczęście wcielił do „**Śpiewów**“) było nie wiele „imaginacji“: w dumach o Żółkiewskim i Stefanie Potockim jest „kochanie obok odwagi“, a w dumie o Glińskim — spowiedź przedśmiertna zdrajcy przed córką; w „**Śpiewach**“ nie zostało z „imaginacji“ już prawie nic. Jeżeli w śpiewie o Piaście przychodzą na ucztę do Kruszwicy aniołowie, a w śpiewie o Bolesławie Śmiałym zabija biskupa Stanisława sam król, to nie jest to wymysłem własnej imaginacji Niemcewicza, tylko starodawną legendą. Wymysłem jego własnej wyobraźni są co najwyżej mowy, włożone w usta postaci historycznych, i takie drobiazgi, jak ten np., że Łokietek po bitwie zwycięskiej pod Płowcami usiadł sobie (na wzór bohaterów osjanicznych) pod dębem, a nie pod suchą wierzbą. Wobec tego „**Śpiewy historyczne**“ najwłaściwiej będzie nazwać poezją dydaktyczną, mianowicie rymowaną historią.

Lecz ta rymowana historia, przyozdobiona pięknymi ilustracjami, odegrała ogromną a błogosławioną rolę w życiu narodowym, uczyła bowiem ludzi nie tylko znać, ale i kochać wielką przeszłość, pragnąć „znowu stać się takimi“, „jak potężnymi i sławnymi byliśmy przed tym“, i ufać, że, jak ziściła się przepowiednia aniołów, którzy nawiedzili Piasta, tak ziści się również ich obietnica.

Przez dziewięć wieków ród wasz istnąć będzie,
A po was inni tron Piastów osiędą,
Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rzędzie,
A cne książęta hołdować Jej będą.
Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
I kraj ten obce rozszarpią narody.
Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
Zagrzmi już dla nas wpośród gromów bicia,
Gdy Bóg Wszechmocny, zawsze litościwy,
W oziębłych zwłokach wskrzesi iskrę życia.

Nigdyby jednak „**Śpiewy historyczne**“ nie odegrały tej dobroczynnej roli, gdyby nie były naprawdę **śpiewami**. Wiedział Niemcewicz, jak „silnym jest dźwięk muzyki na sercu i pamięci ludzkiej“. wiedział, że „mogą burzyciele świata zagubiać narody, zabierać i niszczyć te księgi, w których zapisane są plemienia ludzkiego szczęścia i klęski, ale nie zatłumią nigdy w ustach matek tych pieśni, którymi one przypominają dzieciom, że miały Ojczyznę“. To też „**Śpiewy**“ wyszły z muzyką, oddzielną dla każdego śpiewu, a wśród jej autorów był, pomiędzy innymi, Karol Kurpiński: melodia śpiewu o Hedwidze należy do jego arcydzieł.

Otóż muzyka okupiła brak „omamień uczucia i imaginacji“ w „**Śpiewach historycznych**“; głównie dzięki muzyce spełniło się marzenie Niemcewicza, żeby „**Śpiewy**“, „nucone przez młodzież, powtarzane dzieciom przez dobre matki“, przenosiły „w dalsze pokolenia tę miłość kraju, to męstwo, przez które Polak niegdyś słynął“. Śpiewano je nie tylko w salonach warszawskich, ale i po innych miastach, z miast poszły na wieś — do dworków szlacheckich, a z dworków na folwarki, „nauczając, co jest Polska, czym była i jak ją kochać potrzeba“. Tak świadczy książę Adam. A jakiś urzędnik rosyjski nazwał je „elementarzem powszechnym narodu polskiego“; nie dziw, że Nowosilcow kazał je usunąć z bibliotek szkolnych. I długo pełniły „**Śpiewy historyczne**“ tę rolę elementarza patriotycznego; dosyć powiedzieć, że jeszcze Sienkiewicz zachwycał się nimi w młodości i że one to rozbujały w nim tę fantaxję rycerską, z której się urodziła **Trylogia**.

Lecz nie same tylko wiersze składają się na książkę p. t. „**Śpiewy historyczne**“, przeszło trzy czwarte wypełnia proza. Do każdego bowiem śpiewu są prozaiczne „przydatki“; po przydatkach do śpiewu o Janie III, jest „**Krótki rzut oka na czasy od Jana III aż do dni dzisiejszych**“, a po „**Pogrzebie księcia Józefa**“ są „**Uwagi nad upadkiem i charakterem narodu polskiego**“. Otóż wszystkie te dodatki razem wzięte są pierwszym dobrym podręcznikiem historii ojczystej, przeznaczonym dla młodzieży. Wprawdze już w wieku XVIII (w r. 1767) ukazała się „**Historia książąt i królów polskich krótko zebrana**“ przez pijara Teodora Wagę, ale podręcznik to nudny i lichy. W r. 1810 uczony Jerzy Samuel Brandtkie także wydał „**Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego**“; jest to jednak podręcznik nie popularny, tylko naukowy (pierwszy w Polsce — pomimo wielu błędów zarówno historycznych, jak i kompozycyjnych i w ogóle stylowych). — „**Pielgrzym w Dobromilu**“ Izabeli Czartoryskiej, będący popularnym podręcznikiem dziejów ojczystych dla **ludu**, wyszedł o dwa lata później od „**Śpiewów historycznych**“. Na podręcznik Lelewela trzeba było czekać aż do r. 1829. I oto nowa wielka zasługa Niemcewicza: on pierwszy napisał dobry, popularny i zajmujący podręcznik historii polskiej. A zasługa to tym większa, że tutaj nie zataja już Niemcewicz cieniów: owszem, mówi wyraźnie i otwarcie o ciężkich winach przeszłości — moralnych, społecznych i politycznych, które słusznie poczytuje za główną przyczynę upadku Polski. Twierdzi wprawdzie, że te winy „nie całemu narodowi, lecz z jednej strony ślepocie możnych, z drugiej — zbytniej powolności królów przypisać należy“; dosyć, że ani o nadmiernym idealizowaniu przeszłości, ani o zwalaniu odpowiedzialności za rozbiory Polski wyłącznie na zbrodnicze państwa ościenne, nawet mowy nie ma. A i wtedy nie mydlił sobie oczu Niemcewicz, kiedy myślał i pisał o polskim charakterze narodowym: oprócz wielu zalet, widział jasno jego wady, i to nie tylko odziedziczone po epoce niepodległości, ale i nabyte już w niewoli. Nie zapomniał oczywiście i o tej wadzie, że „jest w nas jakaś niepojęta do pracy odraza, jakaś na własne dobre mienie obojętność, gdy... jakiekolwiek są w kraju naszym gałązki przemysłu, opanowali je wyłącznie prawie cudzoziemcy i Żydzi“.

STARA KOLĘDA

Śpiewajmyż dziś Panu
Wieczór i po ranu
z weselem,

Że się raczył narodzić
Nas grzesznych wyswobodzić
z niewoli.

Co w mieście mieszkacie,
Chwalę Bogu dajcie
i dary.

Dawajcie mu barany,
Chcecie li być zbawieni,
czyńcie dobrze.

Nieście kury, kokoszy,
Niech was z piekła wypłoszy,
bo tam źle.

Dawajcie mu i gęsi,
Wszak się wam nie umniejszy,
czyńcie dobrze.

Narodził się ubogi,
Zimno mu też i w nogi,
bo zima.

Dajcie mu też na boty
Z swojej szczerej ochoty,
nie żałujcie.

Kuba nie miał co dać,
Panu ofiarować
za dary.

Ale zdjąwszy z siebie
Gunię dał ją Panu
na zasłonę od zimna.

Potem do sałasza
Popuściwszy pasa
biegł w skoki

Przyniósł miodu słodkiego,
Sztukę sera koziego
dobrego.

Pastuszkowie mali
Weseląc się grali
Dzieciątku.

Dyl, dyl, dyl, dyl na fujarkach,
Fiu, fiu, fiu, fiu na piszczałkach
krzykliwie.

Gdy odchodzić mieli,
Panu dziękowali
i Maryi;

A Józefa starego
Głaskali po brodzie jego,
ojca świętego.

Stary Józef pląsa
Siwą brodą trząsa
od radości.

Że ogląda syna swego,
Nam dziś z nieba zesłanego
na ziemię.

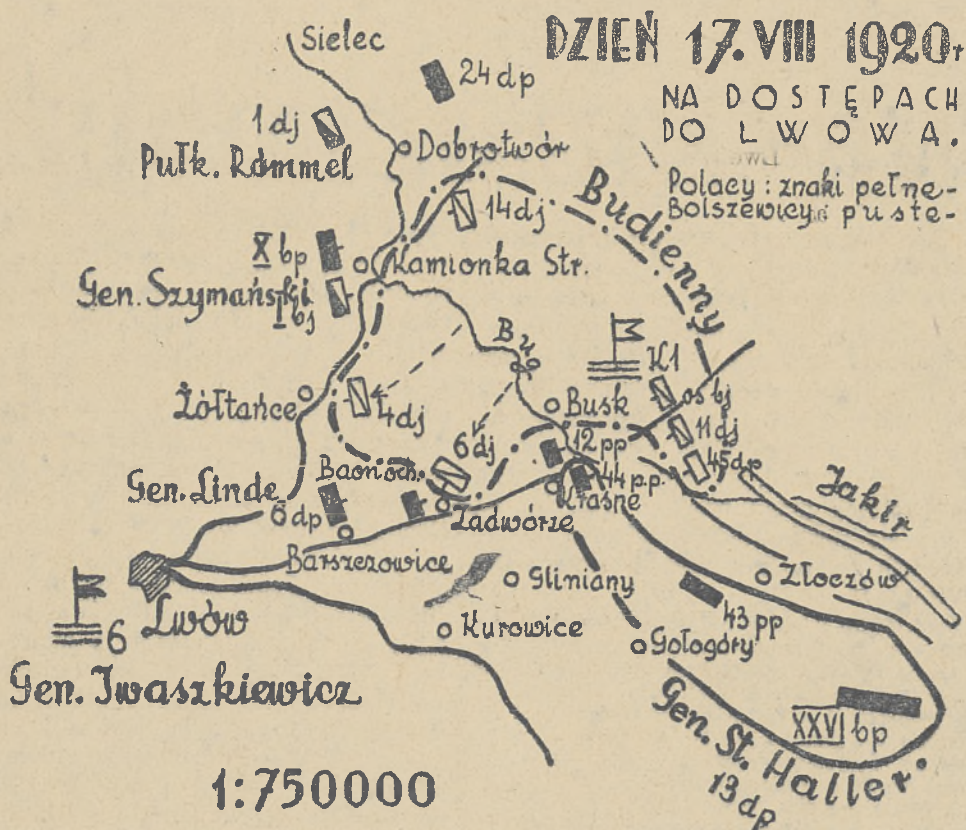
Tekst powyższy zachował się w Muzeum XX. Czartoryskich w rękopisie (nr. 3570). Rękopis pochodzi z wieku XVII; nie starsza też będzie sama kolęda. Lwia część kolęd polskich w tym — jak wiadomo — powstała wieku. Typ wersyfikacyjny zwrotki, jak też i styl wyrazu literackiego pieśni, kojarzący, naiwny, czasem aż w mimowolną groteskę przechodzący, realizm z szczerym, wzruszonym uczuciem, wszystko to świadczy o przynależności utworu do epoki baroku. Kolęda, jak się zdaje, nie była dotąd drukowana, nie ma jej przynajmniej w najobszerniejszym zbiorze ks. Mioduszewskiego (1843—1853).

St. P.

STANISŁAW HALLER

Fragment z pochodu Budiennego na Lwów w r. 1920

Corocznie, 17 sierpnia, odbywają się ze Lwowa pielgrzymki do Zadwórza. Lwów składa hołd młodym bohaterom, którzy tam polegli w walce z konnicą Budiennego, dn. 17 sierpnia 1920. Mało natomiast znaną jest ogółowi sytuacja wojenna na dostępach do Lwowa, z której wynikła tragedia zadwórzańska. Dn. 17 sierpnia 1920 walczyłem na czele części 13 dywizji piech., z Budiennym w Krasnem. Przypadek chciał, że mnie telefon jak gdyby powołał na świadka tragicznego wydarzenia, które miało niebawem nastąpić na tyłach wojsk walczących w Krasnem. Następujący opis odzwierciedli sytuację wojenną w owej chwili. Jest to fragment z nie wydanej dotąd dłuższej pracy o naszych walkach z Budiennym.



Polskie Naczelne Dowództwo zarządziło 6 sierpnia 1920 przegrupowania sił do rozstrzygającej rozgrywki z Tuchaczewskim na północy i osłabiło do tego celu front południowy. Podczas odpoczynku Budiennego w Krzemieńcu, od 4 do 11 sierpnia odeszło na północ kilka naszych jednostek bojowych, które ostatnio z nim walczyły. Ubyła 18 dywizja piech., 1. dywizja piech leg., 2. dywizja jazdy. Gdy Budienny ruszył 12 sierpnia z Krzemieńca na zdobycie Lwowa, znalazł już znacznie mniejszy opór. Z publikacyj rosyjskich wiemy, że Budienny przeforsował operację na Lwów, wbrew poprzednim dyrektywom, otrzymanym z góry, które go kierowały na Lublin.

Kolej Brody—Lwów dzieli wsch. Małopolskę na dwie części, o różnej konfiguracji terenowej. Na południu typowe płaskowzgórze o okrągłych wzniesieniach i głębokich jarach, na północy równina.

Budienny wybrał równinę, jako zdatniejszą dla konnicy, dla swego pochodu na Lwów. Na lewo od niego posuwała się po płaskowzgórzu grupa Jakira, składająca się przeważnie z piechoty, ale też z jednej dywizji jazdy.

Budiennemu przeciwstawiły się od Brodów frontalne nast. siły z naszej strony: 6 dywizja piechoty (chwilowo w sile tylko jednej brygady), X brygada piechoty, 1 dywizja jazdy i I samodzielna brygada jazdy, razem: 1 dywizja piechoty i 3 brygady jazdy. Jakirowi przeciwstawiła się 13 dywizja piechoty na płaskowzgórzu.

Przypadek chciał, że właśnie 12 sierpnia więc w dniu gdy Budienny ruszył z Krzemieńca, objąłem dowództwo 13 dywizji piechoty. Poruczając mi to dowództwo, nie szczędził gen. Rozwadowski, ówczesny szef Sztabu Generalnego, pochwał dla niej, dodał jednak, że życzy sobie, aby dywizja prowadzona była aktywniej.

Wśród frontalnych walk odwrotowych naszych wojsk dotarł Budienny szerokim frontem do Bugu, między koleją Brody—Lwów, a Dobrotworem. Nasze siły stanęły za Bugiem i broniły tej rzeki. Powrócono więc na chwilę do dawnego, później zarzuconego frontowego systemu obrony z ubiegłego czerwca.

13 dywizja piechoty stała na wschód od Złoczowa, prawym skrzydłem aż w Zborowie, lewym w Białym Kamieniu. Miała więc 40 km. frontu. Na nią naciskała grupa Jakira, a poza tym z sąsiedniej armii sowieckiej jedna brygada; razem dwie i jedna trzecia dywizji piechoty i jedna dywizja jazdy Grupa Jakira była w tym czasie uzależniona od Budiennego.

Jeżeli opiszę teraz dokładnie pewien epizod, to nie dlatego, byśmy mogli się z niego nauczyć nowej metody działania przeciw kawalerii, ale dlatego, że rzuca jaskrawe światło na pewne błędne pojęcia o modnej wtedy wojnie ruchowej. Trzeba się też z błędów uczyć.

Dnia 16 sierpnia stała więc 13 dywizja piechoty na opisanej pozycji: XXV brygadą piechoty na lewym skrzydle, XXVI na prawym. Walka z grupą Jakira miała charakter pozycyjny. Nieprzyjaciel ostrzeliwał poza tym Złoczów. Silniejszego ataku na centrum dywizji oczekiwaliśmy dopiero na 17. i 18. sierpnia. Byłem z mym sztabem na zamku złoczowskim, który był ongiś własnością króla Jana III. Tam kiedyś podobno horda tatarska o mało, że nie pojmała króla podczas posiłku. Z dawnego budynku nic nie zostało; zostały tylko wały i rowy, wśród których wzniesiono areszt sądu złoczowskiego. W tym areszcie urzędowałem.

Wiedzieliśmy, że na lewo od nas walczy Budienny od 15 sierpnia o przeprawy przez Bug. Na prawo od nas, nad Strypą walczyła 12 dywizja piechoty z XIV armią sowiecką.

Dowiedzieliśmy się pod wieczór, że dowództwo 6 armii, do której 13 dywizja piechoty należała, projektuje zmiany w operacjach, ale nie wiedzieliśmy jeszcze jakie. Koło północy otrzymaliśmy, wreszcie od dowództwa 6 armii ze Lwowa oczekiwaną dyspozycję na dzień następny, która nas wprawiła wpierw w zdumienie, a po tym w nielada kłopot.

Zawiadamiając, że się 16 sierpnia Budiennemu udało sforsować Bug między Buskiem a Kamionką Strumiłową, nakazywała dyspozycja skupić siły do lepszej obrony Lwowa, a równocześnie przejść do wojny ruchowej.

Każda wyższa jednostka (dywizja, brygada) otrzymywała t. zw. oś wzdłuż której miała działać ruchowo. Więc 13 dywizja piechoty otrzymała oś Krasne—Lwów. 6 dywizja piech. Busk—Lwów, X brygada piech. i jazda dwie dalsze osi ku północy, równoległe do poprzednich; na południu otrzymywała 12 dywizja piech. oś Zborów—Lwów, 13 dywizja piech. miała 17 sierpnia już od rana walczyć w Krasnem.

Że chciano chwilowo ogołocić wsch. Małopolskę i ściągnąć wszystkie siły do najważniejszego zadania, t. j. do obrony Lwowa, przeciw najgroźniejszemu przeciwnikowi, t. j. Budiennemu, to było aż nadto zrozumiałe; za to sposób, w jaki chciano dopiąć tego celu, musiał wzbudzić poważne zastrzeżenia. Jakiego były one rodzaju?

Wprzód pod względem technicznym: Gdyby dyspozycja była nadeszła w południe, by móc rozpocząć ruch z zapadnięciem zmroku, to przesunięcie dywizji do Krasnego dałoby się w pełni wykonać; dyspozycja nadeszła jednak tak późno, że rozkazy mogły dotrzeć dopiero o świcie do najdalej położonych części frontu, co zmuszało wojska do oderwania się od nieprzyjaciela już za dnia. Do tego trzeba uwzględnić, że marsz ze Zborowa do Krasnego wynosi bitych 50 km. i to po szosie będącej pod obserwacją i obstrzałem nieprzyjaciela, więc niezdatnej do rokad w dzień.

Po drugie, pod względem operacyjnym: Uznaję bez uprzedzeń każdą rozumną metodę działania na wojnie. Jednak działanie oddzielnych jednostek musi być ze sobą skoordynowane. Akcja była w swym założeniu właściwie czysto frontalna. Różniła się tylko tym od zwyczajnej akcji frontalnej, że nie była ani ofensywą, ani defensywą, lecz dowolną dla każdej jednostki. Ruchowość polegała na tym, że nie koordynowano działań, zostawiając wszystko przypadkowi. Każda jednostka mogła się posuwać wzdłuż swej osi, nie oglądając się na sąsiada. To musiało prowadzić do zamieszania.

Zobaczymy dalej, co z tego wynikło.

Rozwój wypadków

Połączyłem się telefonicznie z pułkownikiem szt., gen Kesslerem, szefem sztabu 6 armii i zapytałem, czy dowództwo 6 armii zna trudności wykonania tej dyspozycji. Pułk. Kessler zapewnił mnie, że tak, ale że dowództwo armii nie ma mocy zmienienia tego rozkazu. Podkreślił, że 13 dywizja piech. powinna walczyć już 17 sierpnia rano w Krasnem. Co miałem robić w tej sytuacji?

Nasze rozkazodawstwo polowe było w roku 1920 w 50 procentach wadliwe. Wynikło to z braku jednolitej doktryny. To musiało wywołać szkodliwe refleksy u dołu i krytyczne odnoszenie się do zarządzeń. Przyzwyczajono się nie wykonywać rozkazów dokładnie. Wiedziałem z doświadczenia, jak to utrudnia dowodzenie. Czyż miałem iść za tym złym przykładem?

Należało mimo wszystko rozkaz wykonać. 13 dywizja piechoty nie mogła zawieść, właśnie gdy żądano od niej aktywności. Dowódca odpowiada za to, by na powierzoną mu jednostkę nie spadł zarzut bezczynności. Co tylko z tego rozkazu było wykonalne, należało wykonać. Nie mogąc być z całą dywizją 17 sierpnia w Krasnem, zadyrygowałem tam natychmiast XXV brygadę piech., a XXVI brygadę piechoty, nie mogącą wykonać rokady w dzień, poleciłem wycofać w tył na Gołogóry, skąd miała przybyć jako drugi eszelon do Krasnego. Czyniłem więc, co tylko było w mej mocy, aby zrealizować z rozkazu to, co się zrealizować dało.

44 pułk strzelców kresowych, stojący koło Białego Kamienia, miał odejść wprost do Krasnego, 43 pułk strzelców kresowych, stojący na wprost Złoczowa, miał się zebrać w Złoczowie i ruszyć wzdłuż kolei żelaznej do Krasnego. Sztab dywizji i sztab XXV brygady piechoty, miały się przyłączyć w Złoczowie, dla własnej osłony, do 43 pułku strzelców kresowych. Mieliśmy przecież wkroczyć w dominium Budiennego.

Stałem ze swym sztabem przed wschodem słońca na wzgórzu koło Złoczowa,

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ.

Prabułgarskie stolice

Prabułgarami nazywamy szczep pochodzenia turkskiego, który przywędrował niegdyś z Azji w okolice Kaukazu między Donem a Kubaniem, stamtąd zaś wędrując dalej wzdłuż północnych wybrzeży Morza Czarnego i zatrzymując się etapami w Besarabii a potem w Dobrudży, wkroczył wreszcie w końcu VII wieku pod wodzą chana Ispericha na Półwysep Bałkański i osiadłszy w dawnej Mezji, między Dunajem a Starą Planiną, zdołał narzucić swą władzę tamtejszym ludom, wśród których ogromną przewagę mieli Słowianie, oraz związać je silną organizacją polityczną w postaci państwa bułgarskiego (r. 679).

Zwykło się mniemać i czytać w niektórych podręcznikach, że Prabułgarzy byli narodem dzikim i barbarzyńskim, bez jakiejkolwiek kultury, że uprawiali tylko rozbój, grabież i gwałt, jak Hunnowie, i że na tym właśnie oparli swoje panowanie wśród Słowian na Bałkanie.

Dziś to mniemanie o barbarzyństwie Prabułgarów musi stanowczo ustąpić wobec wyników wykopalisk ostatniej doby, które wykryły ślady wcale wysokiej kultury bułgarskiej już w pierwszych wiekach po osiedleniu się na Bałkanie. Szczególnie ciekawe są pod tym względem wykopaliska na terenie najstarszych stolic prabułgarskich.

Pierwszą stolicą chanów bułgarskich była Pliska. Leżała ona na obszarze dzisiejszej wsi Aboba w półn.-wsch. Bułgarii, niedaleko Warny, między dzisiejszymi stacjami kolejowymi Szumen — Kaspiczan. Już przed stu laty natrafiono tam na potężne zwaliska kamienne, które jednak systematycznie poczęto rozgrzebywać dopiero w końcu XIX wieku. Największe zasługi około tych wykopalisk położył rosyjski archeolog Karol Szkorpil, który kopiąc z ramienia Rosyjskiego Archeologicznego Instytutu w Piotrogrodzie wykazał ponad wątpliwość, że natrafiono tu na ślad najstarszej stolicy chanów bułgarskich, znanej w źródłach pod nazwą Pliska. Źródła te łączą Pliskę z imionami najwybitniejszych władców młodego państwa bułgarskiego, chana Kruma i syna jego Omurtaga (r. 803—831), którzy pozostawili po sobie w Bułgarii wiele znamienitych pamiątek.

Odkopana w Plisce osada ma charakter wielkiego obozu, obwiedzionego zachowanym dotąd wysokim wałem ziemnym oraz fosą w kształcie wielkiego prostokąta o długości 7 km. W środku tego obozu, przeznaczonego niewątpliwie dla ochrony bydła i koni tego pastersko-rycerskiego ludu, jakim byli Prabułgarzy, wznosiła się potężna warownia kamienna w kształcie trapezu, którą tworzył mur o boku przeszło 700 m., zbudowany z ogromnych bloków kamiennych. Warownia ta, obronna kilkunastu basztami, miała 4 wielkie bramy na wszystkie strony świata. W centrum warowni leżą dziś zwaliska kilku wielkich kamiennych budowli, które dotąd są przedmiotem skrzętnych wykopalisk i poszukiwań. Dały one możność odsłonić i odtworzyć plany tych gmachów, zbudowanych również z bloków kamiennych, oraz powziąć wyobrażenie o sztuce i kulturze, panującej niegdyś wśród tych murów.

Największą z tych budowli był pałac władców bułgarskich w kształcie prostokąta o długości 50 m. Wewnątrz pałacu mieściła się wielka sala tronowa z apsydą, w której stał niegdyś tron chanów. Zarówno w architekturze pałacu, jak w znalezionych resztkach zabytkowych, rozpoznać można wpływy orientalne, spotykane w sasanickich pałacach na Kaukazie, choć nie można też przeoczać wpływów sztuki bizantyńskiej. Obok dużego pałacu wznosił się mniejszy dworzec oraz nadworna cerkiew, w której murach, pochodzących z czasów chrześcijańskich, rozeznać się dają ślady starszej, prawdopodobnie jeszcze pogańskiej świątyni. Poza warownią, ale jeszcze w obrębie wałów, leżą zwaliska ogromnej trzynawowej bazyliki, mającej 100 m. długości, a ozdobionej wewnątrz marmurowymi kolumnami z pięknymi kapitelami w różnym stylu; pochodzą one prawdopodobnie z ruin dawnych budowli rzymskich, lub zabrane zostały jako łup w czasie wypraw bułgarskich na Bizancjum. Niektóre z tych kolumn, rozwleczone później z Pliski w różne strony, zawierają napisy ze wspomnieniami historycznymi, wiążącymi się przeważnie z czynami wojennymi chana Omurtaga. Wśród zwalisk Pliski znaleziono ponadto wiele przedmiotów użytkowych, monet, kafli, rur wodociągowych itp.; niektóre z tych przedmiotów mają na sobie tajemnicze znaki, które uważane są za nieodcyfrowane dotąd litery pisma bułgarskiego. Wszystko to świadczy w każdym razie o wysokich potrzebach kulturalnych mieszkańców Pliski, którzy w świetle tych wykopalisk niewiele ustępują pod względem cywilizacji swym greckim sąsiadom.

W odległości około 10 km na południe od Pliski leży osada Madara. Nad wsią wznosi się jak gdyby olbrzymi mur, kilka kilometrów długa ściana urywającego się tu stromo progu płaskowzgórza szumeńskiego, który występuje ponad otaczającą dolinę Madary na wysokość przeszło 200 m. W pewnym miejscu stroma wapienna skała tworzy załom pod niemal prostym kątem, i oto w tym załomie natrafiono na bardzo dawne ślady osadnictwa ludzkiego z okresu paru tysięcy lat. Naprzód w grotach, kry-

oczekując 43 pułku strz. kres. Pułk nie nadchodził o wyznaczonej godzinie. Dzień się zrobił. Z pozycji 43 pułku strz. kres. słychać było coraz silniejszy ogień. Pułk nie zdołał się widocznie oderwać w zmroku od nieprzyjaciela i miał obecnie trudności, mogące jego odmarsz znacznie opóźnić. Natomiast widziałem przez szkła 44 pułk. strz. kres., odchodzący ze swej pozycji koło Białego Kamienia w kierunku na Krasne.

Moja sytuacja stawała się „głupia“. Nie ma na to lepszego wyrażenia. Klątwa wadliwego rozkazu rodziła nowe trudności. Zamiast z czterema pułkami piechoty, ruszałem na razie tylko z jednym na Budiennego. Poza tym wisiało dowództwo dywizji w powietrzu, bez dostatecznej osłony, dla udania się do zagrożonego obszaru. Miałem przy sobie tylko większą część I dyonu 4 pułku strz. konn. i część V poznańskiego baonu etapowego, niezdatnego do walki, bo bez uzbrojenia bojowego. To było stanowczo za mało dla osłony sztabu, wobec perspektywy wejścia w rejon działania przynajmniej jednej dywizji Budiennego.

O moim dalszym postępowaniu zadecydowały: zaufanie do dowódców i pułków 13 dyw. piech. i obowiązek żołnierski.

W ciągu mego krótkiego okresu dowodzenia 13 dywizją piech. miałem już możność wyrobić sobie zdanie, że dowódcy, i pułki tej dywizji nie zawiodą.

Ta dywizja, sformowana we Francji jako 1 dywizja hallerowska, składała się początkowo przeważnie z Polaków Amerykanów. Miała wzorową organizację i dobre uzbrojenie. Po zdemobilizowaniu Polaków z Ameryki otrzymała młodego żołnierza krajowego, który jednak wcielony do doskonałych kadr tej dywizji, stawał się z każdym dniem lepszym. Dywizja zaprawiła się pod Koziatynem w boju z Budiennym. Chociaż się teraz, dzięki błędnemu rozkazowi rozlatywała na trzy części, wiedziałem, że każda część spełni z poświęceniem swe zadanie.

Mnie zaś osobiście nakazywał żołniersk obowiązek udać się, mimo wielkie ryzyko do Krasnego, jako najważniejszego miejsca wypadków, tym bardziej, że 44 pułk strz. kres. mógł się tam znaleźć w trudnej sytuacji i bez dalszych dyrektyw w walce z Budiennym.

Nie mówiąc memu otoczeniu, jakie troski mnie gnębią, aby nie wywołać wrażenia, że jestem tchórzem podszyty, ruszyłem ze swym sztabem i sztabem XXV brygady piech. wzdłuż kolei żelaznej do Krasnego. Z początku było spokojnie, ale od Skwarzawy zaczął się ruch. Czuć było, że przekroczyliśmy granicę domeny Budiennego. Najpierw zaniepokoił nas od wschodu pułk jazdy sowieckiej. Wysłałem przeciw niemu rotmistrza Fibicha z I dyonem 4 pułku strz. kres. Rotmistrzowi Fibichowi udało się utrzymać ten pułk w szachu. Lecz nagle zjawia się inny pułk kawalerii sowieckiej i szarżuje nasz V pozn. baon etapowy, postępujący niedaleko za sztabem. Otacza go w oka mgnieniu. Mój sztab znalazł się bez żadnej osłony.

Teraz nie było ani chwili czasu do stracenia. Było rzeczą jasną, że następna szarża skieruje się w naszą stronę. Zauważyłem na szczęście w tej chwili, że jeden baon 44. pułku strz. kres., idący z Białego Kamienia, zbliża się już do Firlejówki. Daliśmy naszym rumakom ostrogi, i co koń wyskoczy, schroniliśmy się pod opiekuńcze skrzydła tego baonu, który swymi karabinami maszynowymi wstrzymał napór jazdy.. Straty sztabu dywizyjnego wynosiły jeden niecały baon etapowy, dwa zdobyczne działa rosyjskie z jednego z poprzednich bojów, oddane pod pieczę baonu etapowego, i kilka wozów. Dziękowaliśmy Bogu, że nie więcej.

44 pułk. strz. kres przybył pod dowództwem podpułk. Szyllinga w komplecie do Krasnego. Przywiózł ze sobą dwie baterie. Teraz trzeba było powziąć decyzję, jak namontować, narazie jednym pułkiem, nakazaną akcję ruchową. Tym czasem melduje się nieoczekiwanie u mnie w Krasnem, ze swoim pułkiem, dowódca 12. pułku piechoty ze 6. dywizji piech. Dowiedziałem się od niego, że 6 dywizja piech. walczyła w dniu poprzednim w Krasnem i Busku i że 12 pułk piech. pozostał w Krasnem dla dokonania odsieczy jednego plutonu tego pułku, otoczonego w Busku przez nieprzyjaciela. Reszta 6. dywizji piech. cofnęła się, razem z dowództwem dywizji, po osi Busk—Lwów, aż gdzieś pod Barszczowice. Akcja ruchowa zaczęła przybierać groteskowe kształty. 43. pułku strz. kres. nie było dalej widać.

W tym zamieszaniu przypadkowe natknięcie się na 12 pułk piech. było bądź co bądź trafem szczęśliwym, bo mogłem w razie potrzeby podciągnąć go do wspólnego działania. Na razie nie przeszkadzałem mu jednak w jego specjalnej akcji.

Z rannych szarż nieprzyjacielskich na mój sztab wnioskowałem, że część armii konnej znajduje się jeszcze na wschodnim brzegu Bugu. Ale która?

Poleciłem 44. pułkowi strz. kres. stanąć na razie przyczółkiem nad Gologórką koło Krasnego, a sam próbowałem nawiązać połączenie telefoniczne ze sztabem 6. armii we Lwowie, dla zgłoszenia swego przybycia do Krasnego.

Połączenie otrzymałem. Usłyszałem głos pułkownika szt. gen. Kesslera, szefa sztabu 6. armii, który pospiesznie zawołał: „Wszystko pod Lwów, dla obrony Lwowa!“ W tej samej chwili przerywa nam rozmowę telefonista na pośredniej stacji Zadwórze, okrzykiem: „bolszewicy!“ i połączenie pęka na dobre. — Wiedziałem teraz jednak bądź co bądź, co dalej czynić. Takie hasła. rzucone w pośpiechu, w chwili niepewności, mają większą wartość, niż sążniste dyspozycje. Znaczyły one, że zamierzona akcja ruchowa między Bugiem a Lwowem, została już właściwie pogrzebana i że jedna dywizja jazdy sowieckiej dotarła już na naszych tyłach do Zadwórza. Niestety, niepotrzebne rozbicie 13. dywizji piechoty na trzy części było faktem, nie dającym się tak szybko naprawić.

Na przyczółku 44. pułku strz. kres. rozpoczęły się wnet walki. O odejściu za dnia w kierunku na Lwów mowy być nie mogło. Postanowiłem doczekać zmroku.

Bohaterski Lwów

Jak się pózniej wykazało, sytuacja nieprzyjacielska była w ówczesnej chwili mnie więcej następująca:

Dwie dywizje Budiennego przekroczyły już 16. sierpnia Bug między Buskiem a Kamionką Strumiłową. W samej Kamionce Str. natomiast stała jeszcze 17. sierpnia nasza X brygada piechoty w walce z 14. dywizją jazdy sowieckiej. Z obu dywizji, które przekroczyły Bug, skierowała się 4 dywizja jazdy na Żółtańce, a 6. na południe. Ona właśnie pojawiła się 17 sierpnia w Zadwórzu i przerwała moją rozmowę ze Lwowem.

11 dywizja jazdy sowieckiej i osobna brygada — z nią sztab konnej armii — były 17 sierpnia jeszcze na wschodnim brzegu Bugu. Do nich dołączyła się po odejściu 44. pułku strz. kres. z Białego Kamienia 45 dywizja piechoty sowieckiej, która stała na pozycji naprzeciw Białego Kamienia. Z tymi jednostkami nieprzyjacielskimi walczyliśmy do wieczora 17. sierpnia w Krasnem i Busku.

Chwila, w której usłyszałem telefonistę w Zadwórzu wołającego: „bolszewicy!“ wiąże się z innym bardzo tragicznym incydentem, a mianowicie ze zniszczeniem przez 6 dywizję jazdy sowieckiej, baonu kapitana Zajączkowskiego, złożonego z ochotników lwowskich.

Bohaterski Lwów szedł przodem swoją ofiarnością nie tylko w latach 1918/19, ale też w roku 1920. Ludność prześcigała się w wysiłkach, by pomagać w odrzuceniu napastnika. Baon kapitana Zajączkowskiego był oddziałem ochotniczym, złożonym z młodej inteligencji, która spieszyła z zapałem na front, gdy została napadnięta znienacka przez 6 dywizję jazdy sowieckiej, pod Zadwórzem. Baon uległ katastrofie. Podróżnik przejeżdżający koleją przez Zadwórze widzi przy torze mogiłę, pod którą leżą zwłoki trzystu kilkunastu młodych ochotników: kwiatu naszej młodzieży. Nie można minąć bez wzruszenia tego miejsca, będącego nie tylko widomym znakiem największej ofiarności, ale też groźnym memento dla wyższych dowódców, by pogłębili w sobie poczucie odpowiedzialności. Ten baon miał nieszczęście, że został wysłany — może bez wyraźnej przestrogi — na front właśnie wtedy, gdy t. zw. akcja ruchowa wszystko pomieszała, więc nie było się z żadnej strony pewnym.

Będąc po wojnie inspektorem armii we Lwowie, odwiedziłem Zadwórze, gdzie m chłopi opowiedzieli, jak jazda sowiecka wypadła z lasu i otoczyła ten baon, postępujący wzdłuż toru kolejowego. Bronił się bohatersko: dlatego mu nie dano pardonu. Poszliśmy wtedy pod mogiłę młodych bohaterów dla zmówienia krótkiego pacierza.

Lecz wracajmy nad Bug do Krasnego. Po południu śledziłem udałą odsiecz 12. pułku piech. na Busk przy pomocy samochodu pancernego, a ze zmierzchem wyruszyliśmy przez Gliniany w kierunku Lwowa. 43 pułk. strz. kres. połączył się z nami dopiero w czasie nocnego marszu w Rusiłowie. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że 6. dywizja jazdy sowieckiej nocuje w Laszkach Królewskich, przeszliśmy z Glinian w zupełnej ciszy, polnymi drogami do Kurowic, gdyż nie znając dostatecznie sytuacji nieprzyjacielskiej, nie chciałem się wśród ciemnej nocy wdawać w awanturę z nieprzyjacielem, mogącą wywołać jeszcze większe zamieszanie. O świcie byliśmy w Kurowicach. 12 pułk piech. ruszył do Barszczowic, do swojej dywizji. W dniu 18 sierpnia przystanęliśmy, w czasie dalszego odwrotu na Lwów, na odcinku Czyżyków—Biłka Szlachecka, gdzie nasza XXV brygada piech. stoczyła pomyślną walką z 6. dywizją jazdy sowieckiej. Wieczorem dotarliśmy do Winnik. Udało się nam więc wsunąć się znów między Lwów i Budiennego.

Duże trudności sprawiło nam przedyrygowanie naszej XXVI. brygady piech., skierowanej do Krasnego, na nowy kierunek lwowski. Wszystkie drogi między obiema brygadami były pełne bolszewików. Posłaliśmy jej cztery rozkazy, czterema różnymi drogami. Tylko jeden patrol konny wysłany z Kurowic do Gołogór dotarł do celu, po strasznych perypetiach. Doręczył 18. sierpnia przed południem XXVI brygadzie piech. rozkaz, właśnie w chwili, gdy się kierowała z Olszanicy na Krasne. Nawróciła szosą na Lwów i dotarła w nocy na 19 sierpnia do Winnik, gdzie się zebrała nareszcie cała dywizja. XXVI brygada piech., walczyła w czasie marszu pod dowództwem pułkownika Bajera, kilkakrotnie z 11 dywizją jazdy sow., która przekroczyła 18 sierpnia Bug niedaleko Krasnego i starała się przeszkodzić marszowi naszej brygady.

Już z opisu tego epizodu zda sobie czytelnik sprawę, jak niebezpieczna była ta błędnie nastawiona impreza ruchowa. Czy dała przynajmniej jakikolwiek pozytywny wynik? Tak, ale raczej przypadkowy. Powstrzymaliśmy bowiem w Busku i Krasnem przez cały dzień 17. sierpnia 11 dywizję jazdy sowieckiej, osobną brygadę i 45 dywizję piech. sowieckiej, a z nimi sztab konnej armii. Można wyciągnąć wniosek, że chociaż 4. i 6 dywizja jazdy konnej posunęły się dalej w tym dniu w kierunku Lwowa, to jednak wstrzymanie tamtych części opóźniło atak na Lwów o jedną dobę. Ten rezultat byłby się jednak dał osiągnąć i w inny sposób, bez tak wielkiego ryzyka. Bezsprzeczną stratą, którą wywołała ta akcja, było zniszczenie baonu kapitana Zajączkowskiego.

Nie wiem „kto“ zawinił w tym wypadku. Nie starałem się nigdy tego dowiedzieć, gdyż żołnierz nie jest od wydawania sądu o swych przełożonych. On ma prawo tylko do historycznej, obiektywnej krytyki. Ale wiem „co“ zawiniło. Zawiniła nerwowa ruchomania, kwitnąca w tym okresie wojny i denerwująca dowódców. Nie znoszono, aby którakolwiek jednostka stała przez dwa dni na jednym miejscu. Musiała się ruszać, czy to było dobrze, czy źle. Była to przesadna reakcja na nasze klęski, poniesione w walkach na stałych frontach.

jących się u stóp ściany, oraz w naturalnych pieczarach, wyrzeźbionych przez wodę w połowie wysokości ściany, znajdują się ślady człowieka z epoki kamiennej (neolitu). Dalsze ślady prowadzą do epoki trackiej oraz jeszcze późniejszej, rzymskiej. Z epoki rzymskiej pochodzą spichlerze, łaźnie z śladami wodociągów, nadto rodzaj nymfeum, a w nim zabytki kultury z doby cesarskiej w postaci posążków bóstw trackich i rzymskich. Prabułgarska epoka pozostawiła tu też po sobie wiele cennych pamiątek. Z tej epoki pochodzi grób, w którym znaleziono kilkanaście przedmiotów złotych, inkrustowanych i emaliowanych, przypominających znów wzory wschodnie, jakie występują także na zabytkach z grobów węgierskich. Dlatego obecnie zainteresowali się tymi wykopaliskami Węgrzy, a badania w Madarze prowadzi wybitny archeolog z Debreczyna, prof. G. Fecher, przy pomocy kilkudziesięciu „junaków“ ze sfer nauczycielskich, odkomenderowanych tu na ćwiczenia wojskowo-naukowe.

Najciekawszym jednak zabytkiem w Madarze jest olbrzymia płaskorzeźba, wykuta w ścianie skały, nie mająca sobie podobnej w Europie. Zdala widna, także z okien wagonu, przedstawia zbrojnego jeźdźca, prawdopodobnie chana Kruma, przebijającego oszczepem lwa, który leży u stóp konia; za jeźdźcem bieży skokiem wierny pies. Rzeźba ta przypomina w swym typie stele wschodnio-rzymskie z postacią jeźdźca trackiego, któremu też stale towarzyszy pies. Dookoła rzeźby, znanej zresztą z dzisiejszych monet bułgarskich, biegnie napis w języku greckim, częściowo już zatarty, dający się jednak w znacznej części odcyfrować. Napis ten wspomina o zwycięskich walkach chana Kruma z cesarzami bizantyńskimi; jest tam dalej mowa o czynach syna jego, Omurtaga i wnuka Małamira. Ponad skałą wznosi się obszerna warownia, pochodząca także z czasów tychże chanów, a mająca zabezpieczyć to prastare sanktuarium w Madarze przed napadem i zniszczeniem.

Trzy mile od Szumenia w kierunku południowo-zachodnim, przy drodze kolejowej do Śliwny, leży miejscowość Wielki Presław. Wiąże się ona również z imieniem chana Omurtaga, który założył tam warownię między r. 814 a 821. Z napisu umieszczonego na jednej z kolumn tam znalezionych wynika, że Omurtag zbudował w obrębie tej warowni dwór, który ozdobił czterema kolumnami i dwoma brązowymi lwami, poza warownią zaś wystawił ten chan na rzece Ticzy kamienny most. Do Presławia przeniósł stolicę Bułgarii car Symeon Wielki w r. 893, syn pierwszego chrześcijańskiego władcy Bułgarii Borysa. Warownia Omurtaga okazała się jednak zbyt szczupłą na pomieszczenie dworu Symeona i spełnianie roli nowej stolicy. Dlatego car Symeon rozszerzył gród i dworzec Omurtagowy i wzniósł około niego liczne cerkwie i monastery. Presław stał się centrum żywego ruchu literackiego, tu bowiem na dworze carskim skupili się liczni uczeni bułgarscy, powstała biblioteka, zakwitła też bułgarska sztuka. Stąd rozchodziły się pośród innych Słowian bałkańskich książki bułgarskie. Presław był stolicą Bułgarii do końca XII wieku, przetrwawszy szczęśliwie najazdy ruskie i bizantyjskie.

Wykopaliska, które rozpoczęły się w Presławiu w końcu XIX wieku, doprowadziły do odkrycia 2 grodów: wewnętrznego i zewnętrznego. Oba te grody otoczone były murami i potężnymi basztami. W środku wewnętrznego grodu wznosił się pałac Omurtaga, zbudowany podobnie, jak w Plisce z bloków kamiennych; do niego dobudowana była druga część pałacu, pochodząca z czasów cara Symeona. Pałac był bogato ozdobiony kolumnami z zielonkawego kamienia o pięknie rzeźbionych marmurowych głowicach. Spośród kilku cerkwi, otaczających pałac, największą i najpiękniejszą była t. zw. cerkiew Symeonowa, budowla centralna z półokrągłymi niszami, przed którymi stało 12 marmurowych kolumn, podpierających ogromną kopułę. Do cerkwi prowadził przedsionek, którego fasady zdobiły 2 okrągłe wieże; do gmachu wstępowało się przez obszerny dziedziniec, okolony portykiem kolumnowym z niszami. W cerkwi i wokoło niej znaleziono mnóstwo grobów z napisami głagolickimi i cyrylickimi, które należą zarazem do najstarszych zabytków pisma bułgarskiego. Mury zewnętrzne cerkwi obłożone były kaflami o pięknej ornamentyce roślinnej lub geometrycznej, wewnątrz zaś ściany były wyłożone marmurem i mozaiką. W pobliżu Presławia wznosiło się też kilka monastyrów, z których najznaczniejszym był zbudowany przez cara Symeona monastyr tak zw. Patlejna.

Takie to zabytki wykryły wykopaliska w miejscach najdawniejszych stolic bułgarskich. W ich świetle okazują się Prabułgarowie nie jako barbarzyńcy, ale jako lud, który posiadał już znaczną kulturę materialną i duchową; zaczyn jej przynieśli oni z sobą na Półwysep Bałkański niewątpliwie jeszcze z swej azjatyckiej ojczyzny, ale umieli, po stałym osiedleniu się wśród Słowian a bezpośrednio w sąsiedztwie cesarstwa bizantyjskiego, pomnożyć tę swą rodzimą kulturę przez wchłonięcie zarówno bogatych pierwiastków ludowej kultury słowiańskiej, jak i wpływów wysoko rozwiniętej kultury greckiej. Dzięki też temu zdołali Prabułgarowie zająć przodujące stanowisko pośród Słowian wschodnio-bałkańskich, których potrafili nie tylko zjednoczyć politycznie, ale i sprząc kulturalnie w silnym państwie, jakkolwiek sami stosunkowo nieliczni roztopili się z czasem w morzu słowiańskim. A to wszystko działo się w dobie, kiedy o Polsce w historii nie było jeszcze ani słychu!

——:0O0:——

M. KUKIEL

Megalomania współczesności i jej iluzje

Wielkie zagadnienie przyczyn upadku dawnej Rzplitej zdało się zrazu odsunięte w cień przez fakt jej odbudowania. Nie przestało jednak niepokoić myśli polskiej, pochłaniać badaczy. Przed tym z poglądami na przyczyny upadku wiązano pogląd na jutro nasze: naukę trzeźwości, cierpliwości, nawet wyrzeczenia — jedni; otuchę, wezwanie do czujności i czynności — drudzy. Dzisiaj z poglądami tymi łączy się jeszcze — mimo rosnący czasu przedział — pogląd na sprawy wewnętrzne i zewnętrzne nasze. Jakże wygodnie wyrzekać na grzechy Polski dawnej, gdy chce się dowieść, że współczesna ma być rządzona rozkazem, trzymana w żołnierskim posłuchu. Jak wygodnie Batorego wywodzić od bata, gdy się chce, by uwierzono, że batem do wielkości prowadzi się narody. Jak pięknie licuje z modną, radosną megalomanią pewnych grup i koncepcjami elitarnymi wynoszenie działaczy pokolenia dzisiaj czynnego ponad tamte pokolenia, które nie umiały Polski ocalić. Kiedyś „Szkoła krakowska" twierdziła, że „upadliśmy z własnej winy". Dzisiaj są amatorzy, którzy chcieliby rozwinąć pogląd ten w tym sensie, aby prawem kontrastu wywołać apoteozę „nowego typu Polaka, zdążającego siedmiomilowymi krokami ku Wielkości". Sponiewierać przeszłość, by naród zaczął bić pokłony teraźniejszemu stanowi rzeczy i jego panom. Ma to się nawet zwać „nową Szkołą krakowską". Obruszyliby się w grobie na takich kontynuatorów Kalinka, Szujski, Tarnowski, Bobrzyński. Doprawdy w znanych dotąd zarysach nowej „Teki Stańczyka" nie ma nic z mądrej zadumy Stańczyka. Zostałaby po nim chyba czapka z dzwonkami, czy „Kaduceus polski", jak widział go Wyspiański w „Weselu".

Imię tych osobliwych epigonów Stańczyka jest legion. Ich stosunek do przeszłości sprowadza się do prostej formuły: Polska upadła, bo nas nie było, a byczo jest, odkąd my żyjemy. Intelektualnym tezy tej chorążym i głównym na polu historiografii reprezentantem jest p. Olgierd Górka, głośny przez swoją kampanię przeciw sienkiewiczowskiej „Trylogii" i przez niepowodzenia w kampanii tej doznane, zresztą pisarz utalentowany, bystry badacz dziejów Bliskiego Wschodu.

Poglądy swoje w sprawie upadku i odbudowania Polski rozwinął prof. Górka rok temu, na wileńskim zjeździe historyków, gdzie tezy jego, wypowiedziane z właściwym mu temperamentem polemicznym, żywą i ciekawą wywołały dyskusję.

Autor podniósł, jak powiada, „bunt logiki" przeciw dotychczasowemu nazywaniu pesymistycznym poglądu Szujskiego, Kalinki, Bobrzyńskiego, że Polska upadła głównie z własnej winy, optymistycznym zaś poglądu Korzona, Askenazego, Balzera, że „causa efficiens" upadku leżała na zewnątrz, w sytuacji politycznej ogólnej, zmowie sąsiadów, przy „nieobecności" reszty Europy. Przeciw logice zgrzeszyli zdaniem autora wszyscy wymienieni i cały ogół historyków polskich: wszyscy bowiem godzili się z tym, „expressis verbis" lub w milczeniu, że pesymistyczny jest pogląd, głoszący iż naród polski nie okazał się zdolnym do nowożytnego życia państwowego, optymistyczny — pogląd, że tylko przemoc obca uniemożliwiła mu naprawę i utrzymanie państwa. Z pierwszego z tych poglądów wyciągano w rzeczywistości dziejowej konsekwencje polityczne takie, jak konieczność długiego oduczania się starych przywar, terminowania u obcych, dojrzalszych, polityczny minimalizm, u szczytu nadziei samodzielność państwowa w oparciu na Austrii (Bobrzyński), ale raczej trójrealizm i trójlojalizm (Smolka). Z drugiego z tych poglądów wyciągano jako konsekwencję dążenie do odzyskania przy pierwszej sprzyjającej okoliczności bytu niepodległego, z wiarą, że naród jest w pełni do niego dojrzały (Korzon, Askenazy, Balzer). Z pełną logiką też określili Dembiński, Halecki i Handelsman w swym francuskim szkicu o historiografii polskiej (1933), że pierwszy z tych kierunków był „raczej pesymistyczny", drugi „raczej optymistyczny". Trudno istotnie określić to inaczej.

Ale prof. Górka „przynosi sprawdzian dla tezy upadku przez fakt istnienia Polski Odrodzonej", uważając, że to właśnie „podejście" jest naukowym, albowiem „sądy historyczne dla swych ujęć syntetycznych wymagają zamknięcia i dokonania się pewnych procesów", dla prof. Górki zaś sprawa upadku Polski i jej odbudowania stanowi razem jeden proces dziejowy. Otóż to założenie: jedność procesu upadku i odbudowania Polski, przyjęte przez autora jako oczywiste, jest tylko śmiałą hipotezą która wymagałaby uzasadnienia i to nie w dwuarkuszowym referacie; sam autor w innym miejscu przyznaje, że „lepiej by było, gdyby te wszystkie nowe poglądy czy ujmowania sprawy, ukazywały się w wielotomowych dziełach z całym aparatem dowodowym".

Dla prof. Górki upadliśmy w rezultacie moralnego rozkładu narodu szlacheckiego, z własnej winy, wskutek „możliwie fatalnego ustroju", przez „kwietystyczne zdemilitaryzowanie masy szlacheckiej", „na podłożu gospodarczego bezwładu", spowodowanego krańcowym egoizmem warstwy panującej, to wszystko „na tle warunków, które zaistniały pod koniec wieku XVIII", „nie znalazłszy człowieka, który by umiał ciężką a potem rozpaczliwą sytuację opanować i rozegrać w zwycięskiej obronie". A zatem wbrew wszystkim przesłankom powyższym mógł ocalić sprawę człowiek-zbawca? I to bez „chociażby zasadniczego zrębu ludzi politycznie i wojskowo przygotowanych" (str. 11—2). Tutaj logika zaczyna się po trosze „buntować" przeciw takiemu wyolbrzymianiu możliwości jednostki w dziejach, prowadzącemu nas w dziedzinę cudów.

„Teza odrodzenia", sformułowana przez prof. Górkę, streszcza się w twierdzeniu, że „powstaliśmy z własnej zasługi", a to dzięki regeneracji narodu, wytworzeniu elementów zdolnych do walki, wystąpieniu „człowieka", który potrafił zarówno przygotować, jak zwycięsko rozegrać grę o Polskę i jej granice na tle pełnego wyczerpania całej Europy po wielkiej wojnie i przy wyzyskaniu istniejących warunków". Autor nie specyfikuje w tym miejscu, że owe „warunki" były to ni mniej, ni więcej, tylko pogrom i kapitulacja najpierw jednego, później obu pozostałych zaborców, od działania polskiego, przyznajmy to z rzetelnością ludzi nauki, zupełnie prawie niezależne. Ale przez podkreślenie przepaści, dzielącej Rosję Katarzyny od Rosji Kiereńskiego czy Lenina, Prusy Fryderyka II od Prus „Soldatenratów", Austrię Józefa II czy Franciszka II od dogorywającej monarchii biednego Karola I, przekreśliłby autor pyszałkowate „powstaliśmy z własnej zasługi" i musiałby skromniej stwierdzić, że zdołaliśmy wyzyskać okazję, o jakiej na próżno marzyły całe pokolenia Polski ginącej i walczącej o niepodległość (o tym świetnie Askenazy w „Uwagach" genewskich 1915 r.).

Rozwijając swe tezy prof. Górka uzasadnia „tezę upadku" przez „rewizję naszych dziejów in minus", której przeciwstawia, rozwijając „tezę odrodzenia", zadziwiającą nieraz „rewizję in plus" współczesności naszej. Co do „rewizji" przeszłości, polega ona na uwydatnieniu różnych faktów odpowiednio dobranych, którym można by inne przeciwstawić; autor znajduje w tym napiętnowaniu przeszłości „źródło pocieszenia", bo gdyby istotnie „causa efficiens" upadku Polski było działanie „siły ciężkości", albo „pożądliwości sąsiadów", źle wróżyłoby to o przyszłości naszej, skoro układ sił liczebnych (jak prof. Górka trafnie wykazuje) zmienił się poważnie na naszą niekorzyść, a tendencje zaborcze sąsiedzkie nie są obce dzisiejszemu światu. Natomiast podkreśla prof. Górka znane powiedzenie Hitlera, że odebranie Polsce Pomorza (a raczej ogólnie: zmiana stanu terytorialnego przez wojnę) kosztowałoby półtora miliona ludzi (gdy zabór Pomorza 1772 r. dokonał się — bezkrwawo). Stąd z surowego osądu przeszłości, „pesymistycznego" według dotychczasowej nomenklatury, przechodzi autor do optymizmu co do przyszłości wskrzeszonego państwa i nazywa to, nie dość ściśle, „odwróceniem pojęć".

Niepokoją w tej pośpiesznej syntezie pominięcia całych grup wydarzeń. Na przykład owego 50-lecia wojen (1648—1699), które przetrwała Rzeczpospolita w drugiej połowie XVII w. i zalewana „krwawym potopem" wydobyła się zwycięsko i ostała na stulecie jeszcze istnienia. Jaskrawe pada światło na przyczyny naszego upadku z faktu półwiekowych zmagań się, zwycięskich w sumie, ale okupionych (poza stratami terytorialnymi na dalekich kresach wschodnich) niesłychanym wyniszczeniem kraju, cofnięciem się cywilizacyjnym, upływem krwi najdzielniejszej; w ten sposób dopiero stały się możliwe czasy saskie; trzeba pamiętać, gdy mówi się o nich, że i narody zdolne są do wysiłków i ofiar tylko do pewnych granic, poza którymi ich energia czynna zamiera. Już Korzon zwrócił na ten moment uwagę, bardzo trafnie. Mamy tu do czynienia ze splotem czynników zewnętrznych z wewnętrznymi, jak w ogóle w całej sprawie upadku Polski. Trzeba by np. dziwnej ślepoty, by nie widzieć — śladem prof. Górki powołamy się na zjawiska współczesne — że gdyby Polska popadła w stan anarchii, w jakim Hiszpania znajdowała się chronicznie prawie przez większą część XIX w., gdybyśmy popadli w stan potencjonalnej lub jawnej wojny domowej, w jakim Hiszpania pogrążona jest od lat sześciu czy siedmiu, gdybyśmy dziś wyrzynali się, jak tamci się wyrzynają, byt nasz państwowy byłby zagrożony w najwyższym stopniu, gdy Hiszpanii, tak anarchicznej w XIX i XX w., jak nigdy nie była nią Polska, nie grożą żadne zabory. Z jakże głęboką, przewidującą mądrością ujął to Lelewel w swojej „Historycznej paraleli Hiszpanii z Polską": „Wszystkie te nieszczęśliwe wewnętrzne przyczyny — pisał — mogły pociągnąć nędzę, rewolucję, nareszcie i przywrócenie porządku w kraju, ale nie upadek: gdyby się do nich zewnętrzne nie mieszały". O to właśnie idzie, kto i jak w cudze przeprawy wewnętrzne wmieszać się może i czy inni mu na to pozwolą, a zwłaszcza, czy dadzą mu zgarnąć plon interwencyj. Interwencja mocarstw ościennych w Polsce wiodła nieuchronnie do rozbiorów. Interwencja mocarstw w Hiszpanii, o ile dochodziła do skutku, pozostawiała nietkniętą jej całość i niepodległość. Znaczą coś przeto i granice naturalne, i sąsiedzi, i lekkomyślnie wydrwiwane przez autora „linie polityki europejskiej".

Prof. Górka głosi: „aut-aut", „albo czynnikiem decydującym wina nasza i nasza zasługa, albo wina obcych i zasługa obcych. Tertium non datur!" Takie postawienie sprawy mało ma wspólnego i z logiką, i z metodą historyczną. Bo właśnie jest logicznie dopuszczalne niejedno „tertium", a metoda historyczna domaga się wszech-

DR JANINA SZAFEROWA.

Jak powstała i żyje Delta Dunaju

Gdy ktoś na statku pasażerskim wjedzie w Deltę Dunaju, płynąc ku Czarnemu Morzu, pierwszym uczuciem, jakiego dozna, będzie rozczarowanie. Mając bowiem przed oczyma mapę Delty, ma się wrażenie, że jest to kraj, gdzie co paręset metrów rozwidlają się ramiona rzeki, gdzie na prawo i lewo i wszędzie, dokąd oko sięgnie, widać kanały, lub łachy i zastoiska wodne. Tym czasem droga prowadzi szerokim korytem rzeki o wodzie szarozielonej i mętnej, obramowanej z obu stron wysokimi wałami regulacyjnymi. Brzegi na dużych przestrzeniach porasta las wierzbowy, piękny, wysoki, lecz zamykający horyzont. Od czasu do czasu odbija się w bok jakby ramię rzeki i znów dalej godzina za godziną ten sam ciasny krajobraz, nużący swoją jednostajnością. Tajemnica Delty Dunaju zamknięta jest przed oczyma przeciętnego wędrowca.

Trzy wielkie drogi komunikacyjne prowadzą Deltą do morza. Dwa wiodą głównymi ramionami rozwidlonej szeroko rzeki, podcinające z jednej strony wyniosły brzeg Dobrudży, a z drugiej rozległą równinę Besarabską. Środkiem zaś tych szerokich wideł biegnie właściwym terenem Delty sztucznie przekopany kanał, który najkrótszą drogą wiedzie ku Morzu Czarnemu. Tędy kieruje się cały ruch pasażerski i handlowy z krajów naddunajskich przez Morze Czarne na wschód.

Aby poznać właściwe oblicze Delty Dunaju, trzeba opuścić wielkie arterie komunikacyjne i związany z nimi komfortowy sposób podróży, przekroczyć wał regulacyjny, dzielący Deltę od świata i wśród bagien i moczarów pożyć życiem osiadłego tam wodnego człowieka.

Delta Dunaju jest terenem stworzonym całkowicie przez wodę. W leniwych i mętnych falach rzeki wiszą tysiączne cząsteczki mułu, naniesionego jeszcze gdzieś hen z podnóża Alp, z wyżyn Bawarii i Austrii, z wielkiej węgierskiej niziny, z Karpat wreszcie, które przecina Dunaj wspaniałym przełomem i z rozległych ziem rumuńskich. Wlewając się w bezmiar Czarnego Morza spotykają się spokojne i ciężkie wody Dunaju z oporem bijących w nie fal i jakby zatrzymane, stają w miejscu. Wtedy to, w takim niby jeziorze słodkiej wody, obramowanym morzem. opada powoli zawiesina drobnych cząstek ziemi. Warstwa narasta na warstwę, aż wreszcie po szeregu lat wynurza się ziemia ponad wodę, spychając ją dalej do walki z morzem. Przez te zbudowane przez siebie tereny drąży sobie rzeka nowe koryta. W ten sposób wrasta Delta krok za krokiem w morze.

Walkę Dunaju z Morzem Czarnym obserwować można bez trudu. Gdy staniemy w Sulinie, miejscowości powstałej u ujścia środkowego kanału rzeki i spojrzymy na morze, to zobaczymy. że w odległości paru kilometrów od brzegu odcina się od ciemnych fal morskich wielkie, szare półkole. Jest to właśnie owo niby jezioro w morzu, utworzone przez mętne fale Dunaju. Różnica między tymi dwoma rodzajami wód jest tak znaczna, że chwyta ją doskonale klisza fotograficzna. Tam właśnie toczy się walka brudnej wody słodkiej i czystej morskiej fali, walka, która kończy się zawsze zwycięstwem rzeki i osadzeniem w morzu cząstek ziemi. Teren ten zamula się tak szybko, że ogromne dragi muszą wciąż drążyć drogę dla statków, znaczoną z obu stron długimi sznurami boji. Statki, dążące z Dunaju na Morze Czarne, płyną więc jakby długą aleją, ciągnącą się na wodzie w głąb morza.

Zdobyte w ciężkiej walce z morzem obszary, choć wyłonione nad powierzchnię, dzierży zawsze jeszcze rzeka w swoim posiadaniu. Powoli ziemia oddziela się od przenikającej ją wody i tworzą się tysiące wysp i wysepek, zamkniętych w gęstej sieci kanałów. Delikatny i urodzajny namuł pokrywa się roślinnością, naprzód traw i szuwarów, a potem krzewów i drzew i z czasem wyrasta w mokrej i grząskiej ziemi tak charakterystyczna dla krajobrazu Delty wspaniała puszcza wierzbowa.

W Delcie Dunaju połowę terenu zajmuje woda. Corocznie w czasie od marca do połowy maja zwiększa ona stan swego posiadania, podnosząc się o dwa do siedmiu metrów. To też cała roślinność Delty przystosowana jest do ciągłych zalewów. Do najcharakterystyczniejszych zjawisk roślinnych należy tu t. zw. plaur, czyli wyspy pływające. Są to wielkie nieraz zarośla wysokiej trzciny, które gromadzą między swymi kłączami nawiany przez wiatr i naniesiony przez wodę osad, tworząc tak gęste skupienia, że można chodzić po nich swobodnie. Wyspy te pływają jak korzuchy po powierzchni wody i są idealnym schronem dla zwierzyny w czasie corocznych powodzi. A zwierząt jest tu moc. Na pierwszy plan wysuwa się wodne ptactwo, dla którego tereny Delty są prawdziwym rajem. Nad brzegami kanałów i jeziorek gromadzą się i gnieżdżą tysiące dzikich kaczek, gęsi, bocianów, mew i kormoranów, a strojne w cenne pióra, wysmukłe czaple krążą majestatycznie, nie płosząc się gwarem ludzkich głosów.

Prawdziwe bogactwo Delty stanowią ryby i to zarówno słono, jak słodkowodne. W sieci kanałów rzecznych żyją sumy, karpie i sandacze o niebywałych u nas rozmiarach. Prawdziwe olbrzymy wodne znaleźć można u ujścia głównych ramion rzeki do morza. Tam skupiły się liczne wioski rybackie z najważniejszym swym ośrodkiem Wulkowem, leżącym na granicy Besarabii, a zamieszkałym wyłącznie przez ludność rosyjską. W tej brudnej, zbudowanej na wysepkach „Wenecji Wschodu" wydobywają brodaci rybacy z morza prawdziwe skarby, największe ryby jesiotrowate, dochodzące nieraz do 4 metrów długości, które prócz smacznego mięsa, dostarczają najcenniejszego przysmaku, kawioru. Tam też może wędrowiec nagrodzić sobie trudy i przeżycia przy odkrywaniu tajemnic Delty, rozkoszując się świeżą, wydobytą wprost z ryby ikrą jesiotra, którą na głębokich misach zastawiają mieszkańcy na stołach. Sprzedawany u nas drogo solony kawior nie dorównuje nigdy świeżemu w niebywałej delikatności smaku.

Wnętrze Delty jest prawie bezludne. Osady ludzkie rozmieszczone są po brzegach, nad głównymi ramionami rzeki, na granicy Besarabii i Dobrudży. W okresie najobfitszych połowów wyruszają łodzie rybackie z jednej strony na morze, a z drugiej w głąb Delty, gdzie rybacy koczują nieraz całymi tygodniami w błotnistej puszczy wierzbo-

stronnego studium wszelkich związków genetycznych i pełnego ich uwzględnienia, nie zaś dowolnej koncentracji na pewnej grupie zjawisk z pominięciem lub zlekceważeniem innych.

Naukowo chybiona, „konstrukcja syntetyczna“ p. Górki, nawskróś pragmatyczna, służyć mająca ku pouczeniu współczesnych, i tego celu nie może osiągnąć. Zamiast pouczać — szerzy iluzje. Jeśli historycy, co im zarzuca p. Górka, przeceniali liczebność Tatarów i Turków, a przez to i bitność naszych wojsk, był to z naszej strony błąd naukowy, ale w niczym nie mógł on wpłynąć ujemnie na teraźniejszość polską. Błędy prof. Górki: świadome wyolbrzymianie zasług naszego pokolenia i niedocenianie czynnika zewnętrznego niebezpieczeństwa w dziejach naszych byłyby wychowawczo fatalne, gdyby twarda oczywistość faktów nie obalała wywodów jego ze szczętem i nie była, wbrew całej tej megalomanii — przestrogą.

—oOo—

Grota Narodzenia

Betlejem Judzkie, stare osiedle chananeńskie, sławny Gród Dawida jest dziś niewielkim, około 7 tysięcy mieszkańców (według spisu z r. 1925) liczącym miasteczkiem z których trzy czwarte stanowią chrześcijanie. Położone w odległości zaledwie 9 km na południe od Jerozolimy, konkuruje ono z nią w uczuciach wszystkich chrześcijan. Betlejem było widownią Narodzenia Pańskiego. Autentyczność miejsca Narodzenia nie ulega najmniejszej wątpliwości, bowiem Grota Narodzenia była i jest przedmiotem szczególnej czci od czasów najdawniejszych. Świadczą o tym zachowane pisma Orygenesa (ok. 215 r.) i wcześniejszego od niego męczennika palestyńskiego Justyna (ok. 155 roku) oraz wielu innych. Święci Hieronim i Paulin z Noli (obaj z końca IV w.) nadmieniają nadto zgodnie, że w początkach II w. cesarz rzymski Hadrian (117—138) dla zohydzenia chrześcijanom tego miejsca polecił przy Grocie urządzić gaj pogańskiego bożka Adonisa. Kiedy wreszcie chrześcijaństwo zdobyło należne sobie prawa w imperium rzymskim, cesarz Konstantyn w r. 326 wzniósł nad Grotą wspaniałą pięcionawową bazylikę, pod której chórem znalazło się miejsce Narodzenia.

Bazylika Konstantyna przetrwała do dnia dzisiejszego i jest zapewne najstarszą z zachowanych świątyń chrześcijańskich, a w każdym razie jedyną ocalałą w Palestynie z owych czasów. Jest to wielki poważny w liniach budynek o rozmiarach 62×25 m. podzielony na nawy poczwórnym rzędem monolitowych kolumn noszących ślady starożytnych malowideł. Ściany bazyliki ozdobione były niegdyś pięknymi mozaikami, z których dziś zachowały się ledwie niewielkie ślady. Mozaikową o pięknych barwach była również, jak świadczą niedawne odkrycia, posadzka bazyliki. Do świątyni prowadziły niegdyś szerokie wrota, obecnie zamurowane. Dziś do wnętrza dostać się można tylko wąskim przejściem. Bazylika Narodzenia, ongiś znajdująca się pod opieką Franciszkanów z kustodii Ziemi Świętej, jest obecnie we władaniu Greków prawosławnych i tylko niektóre jej części oddane są do dyspozycji katolików.

Największa świętość Bazyliki — Grota Narodzenia — mieści się pod chórem i posiada dwa wejścia z nawy środkowej. Jest to stosunkowo niewielkie (12×4×3 m.) pomieszczenie wykute w skale. Jedynie sklepienie jest sztuczne, wzniesione podczas budowy świątyni. W części wschodniej Groty, tuż obok schodów, przed niewielkim wgłębieniem, na białej marmurowej posadzce widnieje umieszczona tu w XVIII w. srebrna gwiazda z łacińskim napisem: **„Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est“**. Jest to według tradycji miejsce, gdzie Słowo Ciałem się stało. Tuż obok — na lewo — znajduje się miejsce, również wyłożone białym marmurem, gdzie stał Żłóbek, albo samo było Żłóbkiem, tradycja bowiem o Żłóbku drewnianym jest prawdopodobnie późniejszego pochodzenia. Św. Hieronim, który jako pustelnik 35 lat przebywał w jednej z grot Betlejem, skarży się bowiem gorzko w jednej ze swych homilij na Boże Narodzenie, że usunięto dawny Żłóbek gliniany i zastąpiono go srebrnym... Miejsce Żłóbka, podobnie jak mieszczący się naprzeciwko ołtarz Trzech Mędrców, należą do katolików, przy czym ołtarz Trzech Mędrców jest jedynym, przy którym kapłanom katolickim wolno odprawiać nabożeństwa.

Z Grotą Narodzenia łączą się inne groty każda posiadająca własną tradycję. Wygodniejszy do nich dostęp przez franciszkański kocioł św. Katarzyny, będący parafialnym dla Betlejem i posiadający własne połączenie z Grotami. Grot tych jest pięć, jedna jest poświęcona św. Józefowi na pamiątkę snu podczas którego anioł polecił mu ucieczkę do Egiptu, druga św. Młodziankom, trzecia mieści kaplicę, która była celą św. Hieronima, gdzie ten święty pracował nad tłumaczeniem Pisma św. i gdzie zmarł w r. 420, czwarta miejsce jego grobu i grobu św. Paulli, wreszcie piąta grób Euzebiusza z Kremony, ucznia św. Hieronima. Niedaleko tych miejsc znajduje się nadto t. zw. Grota Mleczna, czczona nawet przez muzułmanów, a jeszcze dalej kaplica stojąca według tradycji na miejscu domku św. Józefa. Na wschód od Betlejem około wioski arabskiej Bet Sahur rozpościera się t. zw. „pole pasterzy“ z ruinami pochodzącego z VII w. kościoła Pasterzy. Blisko tych okolic, koło Snjjaz-el-Ganem przed kilkudziesięciu laty odkryto ślady bizantyjskiego klasztoru, prawdopodobnie nieraz wspominanego Poimenionu z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

ZYGMUNT LASOCKI

Społeczeństwo polskie w czasie wielkiej wojny

w świetle pamiętnika dra Hupki: IV

W maju 1919 r. notuje p. Hupka rozruchy w Kołtuszowskim znacznie groźniejsze aniżeli za czasów rządów P. K. L. Charakterystykę przedstawiciela rządu centralnego, który objął władzę w Galicji, kreśli p. Hupka w sposób następujący: „nigdy go ani za mądrego, ani za zdolnego, ani za człowieka z charakterem nie uważałem“.

W czerwcu zapisuje groźne rozruchy w Krakowie. Nad wszystkim jednak góruje teraz reforma rolna w pamiętniku: „Sprawa stoi źle, bo Witos potrafił zjednoczyć wszystkich chłopów w jedno stronnictwo i ma już połowę głosów w Sejmie. Zwołuje też wielki zjazd chłopski do Warszawy dla sterroryzowania opinii przeciwników... Zjazd jaki Witos zwołuje, będzie zjazdem wrogów Ojczyzny (!), a przyjaciół własnej kieszeni“... Pociesza się jednak: „trzeba będzie i period chłopskich rządów przetrwać“. Ale 17 lipca notuje: „Sejm uchwalił najszkodliwsze dla Polski głupstwo — zasady reformy rolnej — jak chciał Witos“.

Z Paderewskiego i jego rządów był p. Hupka bardzo niezadowolony. Gdy jednak ustąpił, pisze: „Po ustąpieniu Paderewskiego mamy w Warszawie jeszcze gorszy rząd Gabinet aptekarza Skulskiego“. W ogóle nie było rządu w Polsce — od czasu przewrotu do zakończenia pamiętnika — o którym by p. Hupka cośkolwiek dobrego powiedział.

Pamiętnik kończy p. Hupka w maju r. 1920 hymnem pochwalnym na wyprawę kijowską. Niestety, i w tym wypadku znowu przewidywania jego nie sprawdziły się. Wyprawa kijowska nie wypadła pomyślnie.

Pamiętnik napisany jest żywo, z temperamentem. Przebija w nim troska autora o wojsko polskie. Z orientacji jego politycznej, aczkolwiek okazała się błędną, nie można mu czynić zarzutu; hołdował jej — podobnie jak wielu innych — w dobrej wierze. Wadą jego jest zapisywanie dość bezkrytyczne, niesprawdzanych wiadomości, informacji, ploteczek... Za znacznie jednak bardziej ujemną stronę autora uważam brak rzeczowości. Nienawidzi on serdecznie przeciwników politycznych. W czasie wojny odnosi się to do przeciwników N. K. N-u, a zatem najpierw do „endeków“, a następnie do ludowców, wreszcie do socjalistów. P. Hupka przedstawia w najniekorzystniejszym świetle działalność tych stronnictw, reprezentujących jednak ogromną większość społeczeństwa polskiego. Wszystko więc, co robią, jest złe, zgubne — nawet gdy uchwalają niepodległość Polski, której p. Hupka — pomimo swej orientacji austro-polskiej — z pewnością w głębi serca także pragnie. Sądy p. Hupki o ludziach są nadzwyczaj surowe, często niesprawiedliwe. Czytaliśmy już, co mówił o bardzo zasłużonych biskupach. Przytoczę, co mówi o ludziach, z których zapatrywaniami politycznymi mógł się nie zgadzać, ale których gorącego patriotyzmu polskiego nie miał prawa kwestionować: „Ukazała się wstrętna moskalofilska odezwa, zwracająca się przeciw Radzie Stanu i formule przysięgi wojska. Odezwa wydana w imieniu Związku międzypartyjnego, podpisana przez endeków z Głąbińskim na czele, Długoszowców (ludowców) oraz Cieńskiego, Jentysa i t. p. Artykuł „Nowej Reformy“ napiętnował tę obrzydliwość, jak na to zasłużyła“. Notatka datowana z 6 sierpnia 1917. A zatem „moskalofilstwo“ ze strony tych, którzy przeprowadzali rezolucje z 16 i 28 maja 1917 o Polsce niepodległej, „moskalofilstwo“ w chwili największego rozkładu Rosji!

Uznanie znajdują u p. Hupki niemal wyłącznie tylko konserwatyści krakowscy, a w szczególności ich przywódcy Bobrzyński i Jaworski. Dla przywódców innych stronnictw ma tylko słowa namiętnej krytyki, o przymiotach ich lub zasługach — żadnej wzmianki. Witos, to dla niego chłop „typu 1846 r.“, o patriotyźmie jego i zasługach dla Polski ani słowa.

O Daszyńskim czytamy: „Jako człowiek jest Moraczewski uczciwszym od Daszyńskiego, ale jako szef rządu jest o wiele gorszym. Jest to bowiem tępy socjalistyczny doktryner, z którym nie ma co nawet gadać“. Nie byłem przyjacielem ani jednego, ani drugiego. Pod względem politycznym mam im wiele do zarzucenia. Obu jednak uważam za ludzi czystych rąk. Nie rozumiem, czemu Daszyński miałby być mniej uczciwym od Moraczewskiego?

Bezwzględna, częstokroć przesadna, a nawet zupełnie nieuzasadniona, krytyka ze strony p. Hupki wywołała nieraz mocne sprzeciwy. I tak n. p. ogłosił minister robót publ. Moraczewski, w r. 1929, w prasie ostry protest przeciw zarzutom, podniesionym przez niego przeciwko urzędnikom w służbie robót publicznych. Pismo swoje zakończył zdaniem: „Muszę uważać łatwość i bezceremonialność, z jaką p. dr Jan Hupka pomiata honorem i czcią podwładnych mi urzędników za dowód, że p. dr Jan Hupka nie rozumie tego, co nazywa się: honor lub cześć człowieka“.

Nie myślę iść tak daleko z zarzutami przeciw drowi Hupce. Stwierdzam jednak,

wej, śpiąc na zawieszonych między drzewami pryczach, pokrytych dachem siatki moskitowej. Bez tej siatki nawet urodzony w Delcie człowiek, przyzwyczajony do ukłuć komara, stałby się pastwą tysięcy tych krwiożerczych owadów, noszących w sobie często zarazki malarii.

Delta Dunaju jest perłą rybołóstwa Rumunii. Dość powiedzieć, że połowa ryb poławianych w kraju pochodzi właśnie z Delty. Tam też skupia się głównie oko państwowego urzędu rybackiego, który czuwa nad rybołóstwem i zakłada stacje doświadczalne. Wszyscy rybacy mieszkający na terenie Delty są pod kontrolą urzędu. Ryby, zdobyte w czasie połowu muszą dostawiać do wspólnych hal, połowę ich zabiera rząd, a tylko połowę mogą sprzedawać z wolnej ręki. Wyzyskiwani są też zwykle niemiłosiernie przez pośredników handlarzy. To też, mimo wielkiego bogactwa ryb, ludność Delty jest raczej niezamożna, ciężko nieraz walcząca o chleb powszedni.

Kanał spławny biegnący środkiem Delty zbudowała w r. 1856 Europejska Komisja dla Żeglugi po Dunaju. Istnieje ona do dziś dnia i ma swą siedzibę w Sulinie, miejscowości leżącej u ujścia kanału do morza. Jest to instytucja samowystarczalna. Ma ona czuwać nad kanałem, regulować go i odpowiednio pogłębiać, a wzamian pobiera od każdego z przepływających statków wysoką opłatę. W czasach przedwojennych utworzenie się Komisji i uspławnienie Dunaju przyczyniło się do podniesienia życia gospodarczego Rumunii, której jedyny port na Morzu Czarnem, Konstanca, nie jest połączony drogami wodnymi z wnętrzem kraju. Obecnie jest ta Komisja solą w oku Wielkiej Rumunii, która zazdrości jej pobieranych ogromnych opłat, oraz prawa rządzenia się w jej własnym państwie.

W środku Delty, między kanałem, a północnym ramieniem rzeki, znajduje się płat ziemi, różniący się wyraźnie od reszty terenu. Jest to Letea, kraj suchy, wzniesiony stosunkowo wysoko ponad obszary zalewiskowe, jakby wyspa wśród podmokłego terenu Delty. Prawdopodobnie jest to a raczej była ongiś wyspa, otoczona dookoła falami Morza Czarnego, a oddalona o wiele mil od ujścia Dunaju. Rozrastająca się ciągle Delta zbliżała się coraz bardziej ku niej, aż w końcu objęła ją swymi ramionami. Dzięki wysokiemu położeniu charakter fizjograficzny Letei jest całkiem inny niż reszty Delty. Tu powstały osady ludzkie, skupione w długie nieraz wsie, tu rozwinęła się gospodarka rolna, zielenią się pola wyniosłej kukurydzy, złocą się słoneczniki i nagrzane słońcem dynie, tu wreszcie zasiała ręka Boża jedyny w Delcie las mieszany. Rozrosły się w nim mocne dęby, wyniosłe topole i rozłożyste jesiony splecione gęsto warkoczami lian, wina leśnego i wielkolistnej periploki. Jest to w tym monotonnym kraju zjawisko zgoła niepospolite.

Gdybyśmy w naszym kraju poszukać chcieli obrazów, przypominających Deltę Dunaju, znaleźlibyśmy je chyba tylko na Polesiu. Polesie jest terenem również utworzonym i opanowanym całkowicie przez wodę. Powstało ono wskutek zahamowania odpływu wód, które rozlały się szeroko, tworząc sieć rzek, kanałów, jezior i zastoisk. Podobieństwo nie leży tu wszakże w genezie kraju. Delta Dunaju została zbudowana i jest ciągle jeszcze tworzona z naniesionego przez rzekę mułu. Polesie ma inną historię powstania. A jednak panowanie wody nadaje obu tym krajom podobne cechy fizjograficzne. Roślinność Delty Dunaju choć bujniejsza, bo wybujała w cieplejszym klimacie, mało różni się od roślinności poleskich wodnych terenów; tylko zamiast rozłożystych wierzb rozrosły się w poleskim czarnym błocie wspaniałe olchy, tworząc nad ciemnymi wodami gęstą, dziewiczą, prawie niedostępną dla ludzkiej nogi puszczę. Dzięki podobnym warunkom Polesie jest też rajem dla błotnego ptactwa. Życie człowieka na Polesiu i człowieka w Delcie, to również pokrewne istnienia. Tu i tam tną go komary i żywi woda, a chybocząca na fali łódka jest pewniejszą ostoją, niż przepaściste błoto mokrej ziemi. Tylko, że cieplejsze wody Dunaju i sąsiedztwo morza stwarzają warunki, w których świat ryb może się rozwinąć nierównie bujniej, niż u nas. Dlatego człowiek w Delcie nie jest głodny, a nasze państwo musi kosztem wielomilionowych wkładów wydzierać na Polesiu wodzie ziemię, aby dała człowiekowi chleb. Za to młode stosunkowo tereny Delty nie żywią żadnego większego zwierzęcia ssącego, podczas gdy w naszej starej puszczy olchowej brodzi od niepamiętnych czasów właściwy pan tych obszarów, wspaniałorogi łoś, przemierzający miękką stopą torfowiska, a przemyślny inżynier — bóbr spiętrza wody i buduje swe żeremia. Jest to bogactwo przyrody, którego wprawdzie nie możemy sprzedać, ale którego nie oddalibyśmy za żadne skarby.

Jest jeszcze w Polsce jeden zakątek, gdzie oko przyrodnika chwyta podobieństwo do zalewowych terenów Delty. Są to na krańcach naszego Podola znajdujące się wyspy na Dniestrze. Nad tą bystrą, w głębokim jarze płynącą rzeką, tym chyba tylko podobną do Dunaju, że wody jej rzadko odzyskują kryniczną czystość, wznoszą się tu i ówdzie wąskie a długie pasy ziemi, czyli ostrowy, pokryte lasem, z wiosną zalewane całkowicie przez wezbrane fale. Wyspy te rozgrzewane w lecie silnie słońcem i zasłonięte od wiatrów ścianami jarów wyhodowały w ciepłym powietrzu i mokrej ziemi las wierzbowy niemal tak wysoki, i bogaty, jak w Delcie. Jest on oplątany i powiązany niewidzianym gdzie indziej w Polsce bogactwem lian, wprawdzie nie dzikiej winorośli, lecz powojnicy i chmielu. Podobne warunki klimatu i podłoża stworzyły w tych odrębnych zupełnie krajach odpowiadające sobie zbiorowiska roślinne.

A teraz spojrzyjmy na krajobraz Delty oczyma nie ciekawego przyrodnika, ale człowieka, który w swoich wędrówkach szuka piękna. Czy Delta Dunaju jest piękna? Niewątpliwie tak! Ale aby to zobaczyć, trzeba siąść na szeroką łódź rybacką o podniesionym wysoko dziobie i dać się wieźć po leniwej, cichej wodzie daleko, gdzie stopa ludzka nie znajdzie suchego gruntu do oparcia. Tam wśród wyniosłej puszczy starych wierzb, rozpartych szerokimi konarami w grząskim błocie i pochylających swe bogate, połyskujące srebrem i zielenią korony nad wodą, wśród gwaru błotnego ptactwa i szelestu skrzydeł długodziobych czapl, przeszywających majestatycznie powietrze, w gorących promieniach słońca przemówi do człowieka piękno przyrody Delty całym swoim urokiem.

—oOo—

iż wydaje on często sądy przedwczesne, nieprzemyślane, nieraz niesprawiedliwe.

Zdarza się też, iż zapisuje wiadomości i pogłoski niesprawdzone, częstokroć mylne.

Pamiętnik jego nie może zatem służyć jako jedno z poważniejszych źródeł do dziejów wielkiej wojny na ziemiach polskich.

P. S. Uwaga do zarzutu „moskalofilstwa" Polaków w Królestwie. Szef wywiadu naczelnej komendy armii austriackiej, generał M. Ronge, pisze w pracy swojej p. t. „Meister der Spionage" (str. 24 i 25): Rosjanie „pozostawili licznych wywiadowców w Królestwie (Russisch-Polen), którzy się zgrabnie poukrywali, urzędników rosyjskich, prawosławną służbę kościelną, pisarzy gminnych, strażników, rosyjskich robotników. Ci utrzymywali porozumienie z oddziałami rosyjskimi i dostarczali im wiadomości. Ludność polską, przeważnie wrogą Rosjanom — rdzennej ludności rosyjskiej nie było w tej części Polski — podjudzali przeciwko mocarstwom centralnym, nadto utrzymywali ją w strachu pod groźbą, iż Rosjanie wkrótce powrócą i tych, którzy okażą życzliwość państwom centralnym, srodze ukarzą. Chłopom grożono, w razie zwycięstwa nieprzyjaciół Rosji, wprowadzeniem na nowo pańszczyzny, a w razie przeciwnym obiecywano podział wielkiej własności pomiędzy nich... Gdy Rosjanie — jeszcze w roku 1914 — chwilowo odzyskali kilka powiatów, opuścili strażnicy i agenci swoje kryjówki, denuncjowali szereg ludzi, których uwięziono, a także i powieszono".

Szef wywiadu austriackiego traktuje tu stosunek Polaków w Królestwie do Rosjan bardziej rzeczowo, jak p. Hupka. (Por. „Tydzień" z dnia 6. XII. 1936).

——o§o——

Listy Cypriana Norwida do Bronisława Zaleskiego

Do druku podał Stanisław Pigoń

Nie przeto (tobie) powiem, że mam tę smutną stronę wzroku, iż nie odzywałem się może nigdy całą piersią, jedno w porach, w których nie należy bardzo opóźniać się z publikacjami...

Może i teraz tak jest...

Dwie są rzeczy, które zrobić powinienem: 1º Nastroić całą harfę słowa na miarę epoki, aby dotrzymała czasom i wypadkom w łonie ich leżącym i Opatrznemu w obłokach. 2º Mieć głos (zapewne około jesieni) „O Mszy świętej", co od publiczności zależeć będzie, czy chce, czy nie? Niech ona da się uczuć z wolą swą, ale ja... Dwie mam w tym roku rzeczy do zrobienia: nastrojenie harfy słowa, bo nie ma Adama, Zygmunta, Juliusza... i opowiedzenie Mszy świętej. To dwie kolumny, na których ja społeczność Rzeczypospolitej stawiam. Od was zależy — chcieć statecznie i serio.

Dlatego mówię i wiem i twierdzę, że Bohdan Z(aleski) mi wstrętnie nie odpowiedział, iż osobiście zupełnie mu to pomijam, ale publicznie, nie!... Jako poseł i poeta źle zrobił. Ja osobiście nic od niego ani od Adama nie chciałem i nie chcę.

Wyznaj wszelako, co to może publicznie przedstawiać: Goszczyńskiego nie było, Bohdan się usunął od ogółu i poszedł do kobiet plotki gadać. Czy ja tak postępowałem z Juliuszem Słowackim, Zygmuntem i emigracją?

I chcą potem harmonii i ciągu, a żadnego uszanowania publicznej rzeczy nie mają.

1869. **C. Norwid.**

Kiedyś zapytają: — A kto tam reprezentował ciąg poezji?

Goszczyński nie przyszedł, bo cierpiący; Bohdan odwrócił się tyłem i poszedł do kobiet.

Czy Norwid tak był z Zygmuntem, Juliuszem etc., etc., i z grobami nawet na cmentarzu? Oto masz obraz. N.

Data listu ze stempla pocztowego. Początek odnosi się zapewne do owej akwareli, o której mowa w nr 15, przedstawiającej Bramy piekielne. Została więc sprzedana. — Wspomniane „Sprawozdanie" to zapewne art. A. Gillera w „Dzien. Pozn." z 20. V. t. r., zdający obszernie sprawę z utworu „Rzecz o wolności słowa", odczytanego publicznie przez Norwida. Sprawozdanie było entuzjastyczne. Do tegoż odczytu odnosi się końcowa wzmianka o Zaleskim; był on na nim, ale potem, zaledwie przywitawszy się z poetą, poszedł szukać córki. Norwid wziął to za zlekceważenie i miał stąd powód do cierpkich wymówek. Zaleski się usprawiedliwiał listem z d. 26. V (Krechowiecki, II 231). — „Nastroić całą harfę słowa na miarę epoki" pragnął poeta w przygotowywanym wtenczas cyklu lirycznym „Vade Mecum". Utwór Norwida „O Mszy św." był napisany, ale zaginął i dzisiaj nie jest znany.

18. Kwestia bieżąca Zmartwychwstańców

Paryż, 13 czerwca 1869.

W społeczeństwach złożonych z ludzi wolnych, albo chcących nie być nawykłymi do piętna niewoli i szczerze katolickich, — skoro zdarzy się depesza z Rzymu do Krakowa, iż księża traktowali z księciem panującym obcym, i skoro obcy dodają, że idzie rzecz o języku narodowy, — skoro (mówię) coś podobnego zdarzy się, tedy:

1º nikt nie wierzy wieści o osobach,

2º nikt jej ze stanowiska osób nie podnosi, nie głosi i nie polemizuje, bo do tego nie ma umocnień i logicznego nawet punktu,

3º zatrzymuje się na fakcie.

Fakt — jaki jest?

Jest ten: że w obecnym stanie ucisku języka wieść taka, w swoim stanie wieści, jest już szkodliwa, — a że szkodliwa, więc jest faktem.

Dlatego to, mając legalną swoją władzę, bo Jego Eminencję Nuncjusza w Wiedniu, — mając Uniwersytet Jagielloński, strażnicę języka, — i mając sto podpisów literatów, którzy na ten język pracują, — i mając posłów wolnymi głosy wybranych, — i ludzie wolni, lub chcący być wolnymi, lub chcący być godnymi być wolnymi, biorą sto podpisów Uniwersytetu i literatury, i biorą jednego posła, — wysyłają na trzeci dzień po ogłoszeniu wieści do Wiednia, do J. Em. Nuncjusza Apostolskiego, z zapytaniem, jak traktować wieść, która w obecnym ucisku języka narodowego już jako wieść sama jest faktem szkodliwym? Odpowiedź taką ogłaszają na drugi dzień w tymże samym lub w tychże samych dziennikach, w których wieść znalazła była miejsce.

Tak postępują ludzie wolni, lub godni wolności, to jest ci, którzy nie chcą zmienić opinii i jej powagi na anegdoty niewieście i przypowiastki, ale którzy wiedzą, że narody bywają z historii wymazane za nieczujność, za nieużywanie praw, nieufanie władzom prawym a ufanie plotkom, gawędkom i ich krystalizacji, to jest konspiracjom.

Zaś uczeni, a czujni kapłani w takowych, zaiste smętnych, okolicznościach zwykle wybierają biegłego, który ma publiczną lekturę — o ważności teologicznego wyrobienia języka polskiego — języka Skargów, Birkowskich i Kuczborskich... o podobieństwie albo niepodobieństwie teologizowania katolickiego językami, które tej przeszłości nie mają.

Tak na polu politycznym i ta(koż) na polu filologicznym i scjentyficznym broni się sprawy i języka.

Od czego Nuncjusz? — Od czego Uniwersytet? — Od czego dziennikarstwo? — Od czego filologiczne prace? — Od czego plotki i gawędki?

Ściskam twe ramię z głębokim poważaniem.

1869. **Cyprjan Norwid.**

Data pisma ze stempla pocztowego. Okoliczności jego powstania są następujące: Korespondent rzymski lwowskiej „Gazety Narodowej" umieścił w nr z d. 16. V 1869 wiadomość, jakoby księża zmartwychwstańcy Kajsiewicz i Semenenko, korzystając z pobytu w Rzymie księcia Włodzimierza Romanowa, byli u niego na audiencji i zabiegali o wpuszczenie ich zgromadzenia w granice państwa rosyjskiego. W zamian za to mieli jakoby zapewniać, że „odwiodą naród od nigdy nie mogących się urzeczywistnić nadziei". Pogłoskę tę podjął w „Mosk. Wiadomościach" Katkow i proponował, by od księży polskich żądać „dowodu szczerości", ich mianowicie zgody na wprowadzenie języka rosyjskiego do Kościoła katolickiego.

Przeciwko pogłoskom tym wystąpił w „Dzienniku Pozn." (nr 115) Br. Zaleski, piętnując je jako potworne i oszczercze, nie mające żadnej realnej podstawy. Również obaj wymienieni księża, Kajsiewicz i Semenenko zaprzeczyli najkategoryczniej pogłoskom, nazywając je „kłamstwem wierutnym" i „potwarzą" („Dzien. Pozn." nr 133, 136 i 137).

Norwid, jak widzimy, proponował wyzyskać ten wypadek w szerszym zakresie, skorzystać z niego, by ze sprawą języka polskiego w Kościele wystąpić na forum międzynarodowym. Zaleski jednak tej inicjatywy najwidoczniej nie podjął.

19. (Listopad 1869).

Z artystów polskich ty tu jeden z twoją perspektywy wiedzą mógłbyś zrobić wnętrze mieszkania rue Laval 25. Drzeworyt na tym lub akwaforta byłyby piękne.

W innych społecznościach byłoby to już publiczną własnością, — u nas jest kolumbowym odkryciem, że były, są i będą salony, które karty historii zastępowały i w narodu dziejach stanowią, że to właśnie jest jednym z atrybutów chrześcijańskiej ery w dziejach.

Ale to są odkrycia dla Polaków, dlatego też i żałoba polska jest niezrównoważoną bezpersonalizmem i bardzo niepodobną do istnego pojęcia żałoby. Żałoba istna jest tego deputowanego, co zajmuje krzesło swoje o godzinie swej, a twarz ma bladą, iż godzinę temu zatknął krzyż na grobie siostry.

Tylko to jest żałoba. Albowiem całe żałoby prawdziwej pojęcie określa się w tych słowach: „Niewiasto, oto Syn Twój".

Z tego względu nawet żałoby prawdziwej nie ma u Polaków, albowiem są umarłym ciałem i oczy ci wydrapią, gdy ich zbudzić zechcesz.

1869. **Cyprjan Norwid.**

Mieszkanie przy ul. Laval było mieszkaniem Zofii Węgierskiej. Zmarła ona 8. XI. 1869 i niewątpliwie w związku z jej śmiercią stoi zarówno projekt upamiętnienia sławnego jej salonu literackiego przez akwafortę, oraz cierpkie uwagi Norwida o nietrwałości żałoby w Polsce. List zatem z listopada 1869.

20. (Listopad 1869).

Ze stanowiska publicznego:

Pisałem za żywota w rymie, co było ogólną własnością i zaletą, — cóż z tego? Ja zrobiłem swoje, a inni pobawili się tym.

Im trzeba jasno powiedzieć:

— Żadna Sieniawska, Lubomirska, Koniecpolska, Tarnowska, Żółkiewska etc., etc., nie umie więcej po polsku i wiedzy więcej o rzeczach zatracanego języka nie ma, jeno tyle, aby ze służącymi się rozmówić. Każdej brak na trochę herbaty, wiele sensu, taktu, interesu ogólnego, uprzejmości, wdzięku, doświadczenia, serca... Salony ich osądzą je! Żadna pojąć niezdolna wysokiego dramatu żywota zatracanego ludu!

Oto jest jasno napisane, a tamto, co pisałem rymem („Sofiówka"), to niejasno było. Ale żelazna jest prawica Sprawiedliwego i spomną, jaki to cień upadnie od krzyża zatknionego niedawno.

Jak kiedy będziesz u mnie, pokażę ci Jej sen, opisany do mnie w liście, a sen z ostatnich dni. Nie przeczuwałeś, — mówisz!

Trzy dni przed ostatnim dniem zaszedłem. Kaszlała tym samym kaszlem socjalnym, co ś. p. Zygmunt Kr(asiński), nie tym kaszlem stepowym, którym ty kaszlesz. Parę godzin mówiłem z nią. Zmierzchło się, — ogień tlał i blado ją oświecał. Słuch mój — nie chciałem, aby nadto umęczał głos jej; — podniosłem się i podawszy rękę, mówię:

— Tak jak teraz blado oświecona jesteś, Pani, od tego ognia — zupełnie piękna jesteś. (Bo mawiałem jej czasem dzieciństwa).

A ona:

— Dlatego chcę, abyś odszedł teraz, bo życzę sobie zostawić ci mile wspomnienie, zaś któż wie, czy się już zobaczymy kiedy!

To ostatnie słowa. — Wiesz, że szukałem adresu lekarza B(rawackiego), niżli do Ciebie o to pisałem.

*

Właśnie, że podzielić pełnomocnictwo dane w zupełności na los książki, — znaczy: zdanie swoje tak lub owak zespolnić. Toć to pisałem; — ale wiesz, że dając takie, nie daje się z żadnymi określeniami i warunkami. Co zrobi Reitz(enheim) i z kim i jak, — to będzie dobre.

*

Mickiewicza nie rozeszło się w emigracji 500 (egzemplarzy), bo nie miał nigdy słuchaczy 600. Kraj nie był zmyty krwią. Juliusz o niczym doraźnie obowiązującym nie mówił, a Zygmunt nieledwie płacił, aby byli łaskawi przyjąć przez grzeczność genialne narodu płody.

Prawda nie zna grzecznostek.

Cyprjan Norwid.

Trzeba było być prawdziwie, że córką pogrobową narodu bez życia publicznego i z zatracaną literaturą, aby z jednej gałęzi bluszczu, urwanego gdzieś na cmentarzu, i z czterech murów zrobić to, czego żadna komnata senatorskiego pochodzenia i środków senatorskich pełna uczynić nie umie!

Taka społeczność istnieć nie będzie, albowiem sprawiedliwa jest prawica Tego, dla którego nic maleńkiego i nic wielkiego nigdy nie było ani bywa. C. N.

I ten list poświęcony jest wspomnieniu świeżo zmarłej Węgierskiej, stąd pisany zapewne w listopadzie. Być może, Zaleski chciał skłonić Norwida do napisania wspomnienia o Zmarłej do „Rocznika Tow. Hist.-Liter." (napisał ostatecznie L. Kapliński). Bluszcz, wspomniany pod koniec listu, zdobił paryski salonik Węgierskiej. „Salonik jej, bluszczem, pamiątkami i dziełami sztuki przybrany w Paryżu, był jednym z najmilszych dla podróżnego kątków wielkiej stolicy, gdzie w przyjemnej, poufnej, pełnej myśli i uczucia roz-

WŁADYSŁAW HORDYŃSKI.

Pamiątki po Szopenie

w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej

Spuścizna po Szopenie, stanowiąca dla Polski nieocenioną wartość, rozproszona jest niestety po całym świecie. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, bo każda większa biblioteka czy wybitniejszy kolekcjoner pamiątek z zakresu muzyki uważa za punkt ambicji zgromadzenie choć paru drobnych pamiątek dotyczących genialnego twórcy. Możliwość jednak zebrania większej ilości pamiątek, których bardzo wiele jest w rękach prywatnych była i jest bardzo trudną do przeprowadzenia, przede wszystkim ze względów finansowych. Ceny listów i autografów muzycznych Szopena są bardzo wysokie i jeżeli ktoś z prywatnych zbieraczy godzi się na pozbycie autografu, żąda za niego sumę, która nie zawsze i nie dla każdej biblioteki jest dostępną [1]. W Polsce poza prywatnymi zbieraczami dość liczne zbiory pamiątek po Szopenie znajdziemy w Bibliotece Towarzystwa Muzycznego w Warszawie, w Bibliotece Narodowej w Warszawie (zbiory A. Polińskiego), w Muzeum Narodowym im. Króla Jana III we Lwowie (zbiory K. Parnasowej), i w Instytucie Szopenowskim w Warszawie, który jako jedno z głównych zadań swej działalności ma gromadzenie spuścizny po kompozytorze.

Kolekcja pamiątek posiadanych przez Bibliotekę Jagiellońską jest ilościowo niewielka i pochodzi z czterech źródeł. Pierwsze to dar Dionizego Zaleskiego, który ofiarował Bibliotece Jagiellońskiej zbiory Bohdana Zaleskiego. Wśród nich znajdują się: autograf mazurka cis-moll op. 50, Nr 3; cztery listy z lat 1843—5 [2]) do Zofii Rosengardt [3]) uczennicy Szopena w sprawach lekcyj; 2 bilety do poety Stefana Witwickiego i kilka druków a mianowicie bilet wstępu na „Soirée de Mr Chopin dans les salons de Mrs Pleyel & Cº, 20, Rue Rochechouart, Le Mercredi 16 février 1848, à 8 heures ½ Rang-Prix 20 francs place réservée" [4]), zaproszenie na pogrzeb Szopena dla Bohdana Zaleskiego i jego żony, oraz parę druków z obchodów z racji 50-letniej rocznicy śmierci Szopena. Pod tym pukiel włosów, ofiarowanych Bohdanowi Zaleskiemu przez siostrę Szopena, Ludwikę Jędrzejowiczową z następującą dedykacją: „Przyjacielowi Fryderyka Bo. Zalewskiemu".

Drugie źródło, to dar Oskara Kolberga w postaci autografu walca h-moll, op. 69, Nr 2 z następującą dedykacją: „Oryginał walca ofiarowanego memu bratu Wilhelmowi w r. 1829, ofiaruje Bibliotece Jagiellońskiej dnia 29 marca 1881 O. Kolberg".

Trzecie, to zbiór autografów ofiarowanych przez Władysława Górskiego, wśród których znajduje się mała kartka [2]) bez adresu pisana przez Szopena.

Czwarte wreszcie, to niedawno zakupione przez Bibliotekę, programy koncertowe po Stanisławie Koźmianie wśród których są dwa, dotyczące Szopena, oraz bilet wizytowy bez autografu, pochodzący z czasu pobytu kompozytora w Londynie, na co wskazuje adres „48 Dover Street", pod którym zamieszkał z końcem kwietnia 1848 r. Jeden z programów jest specjalnie interesujący, gdyż rzuca nowe światło na jeden z koncertów Szopena. W biografii F. Hoesicka o Szopenie znajdujemy taką oto wzmiankę o występie genialnego kompozytora w Londynie [5]). Szopen zdecydował się „na danie własnego koncertu, w formie poranku muzycznego, który się odbył w dniu 23 czerwca (1848), o godzinie 3 po południu, w sali pani Sartoris przy Eaton Place nr 99. Ograniczona liczba biletów była po gwinei, co było niepraktykowaną wysoką ceną, sprzedażą ich trudniła się firma wydawnicza Cramer, Beyle & Comp. Na kilka dni przed koncertem pojawiło się w Times'ie z dnia 15 czerwca krótkie ogłoszenie, zapowiadające ten występ Chopina. Ale obeszło by się i bez płatnego ogłoszenia, jeśli chodziło o to, żeby wszystkie bilety zostały rozkupione, bo zbyt wielu było takich, co chcieli usłyszeć Chopina. Jakoż salon pani Sartoris (z domu Adelajdy Kemple), gdy nadszedł dzień koncertu, wypełnił się po brzegi, przeważnie płcią piękną... Gdy nadszedł dzień koncertu, w którym wziął także udział Mario, słynny tenor, wszystko odbyło się według programu. Chopin grał na fortepianie Broadwooda same kompozycje własne, a grał same rzeczy mniejsze, nokturny, etiudy, mazurki, dwa walce i swą przepiękną Berceuse. Widocznie, że czuł się bardzo osłabiony, ażeby się porywać na niektóre większe ze swoich utworów, na którą ze swoich sonat, na jaki ustęp z koncertów, na którekolwiek Scherzo lub Balladę. Tak było istotnie: był bardzo bezsilny tego dnia, co nawet odbiło się na jego grze, gdyż grał w ogóle bardzo cicho". Tym czasem na programie, którego dokładny odpis podaję jest zupełnie co innego: „Monsieur Chopin's Matinée Musicale, Friday, June 23 rd, 1848, at the residence of Mrs. Sartoris, Nr 99, Eaton Place; to commence at three o' clock. Programme:

Andante (op. 22), precedé d'un Largo... Chopin ...M. Chopin.

Air, „Le Penitent", Signor Mario... Beethoven.

Andante Sostenuto, 13 me et 14 Etude... Chopin... M. Chopin.

Melodie, „Reine des Nuits", Signor Mario... Alary.

Nocturne, Berecuse (!), Impromptu... Chopin... M. Chopin.

Romance, „Ange si pure", signor Mario (Favorite) — Donizetti.

Mazourka, Ballade, Valse... Chopin... M. Chopin.

Pianoforte, Signor Alary.

Grał więc Szopen nie tylko nokturny, etiudy, mazurki, walce i Barceuse, względ-

mowie zapominało się o lecących godzinach" (Kraszewski w „Rachunkach" za r. 1869).

21.

(Paryż, 11 maja 1870).

Zawsze myślę, że jutro za jednym razem będę miał sposobność widzieć ciebie na przyjęciu u Księcia, mniemając, że może wyszlibyśmy razem i chwilę zostali ze sobą po niewidzeniu długim. Taki przynajmniej plan mój, chęci dobrych nie próżen.

Rozprawa konkursowa zawsze zostanie dziełem zwracającym uwagę i uwagi godnym. Ale to jest „la morale de l'histoire, nullement la philosophie. Zaś co do jej całości, to — gdyby autor aforystycznie tę sobie właściwą a niepospolitą wiedzę historyczną przedstawił był lub przedstawiał, byłoby to ze wszechmiar szczęśliwie dla natury umysłu i pióra jego. Ludzie stanu i nawet myśliciele angielscy, a co więcej i rodzaj filozofów angielskich, mają tę aforystyczną formę, myśleniu ich właściwą.

*

Przeciwnie zaś — nadając tok całości, tok ów tak nadany znosi poniekąd wielkie wartości aforystycznych i drogocennych spostrzeżeń. I znosi tak dalece, że nieledwie poczuć się dawa, do ila autor sam gdzieniegdzie podejrzewał to skontradykowanie ogółem pojedynczych aforystycznych klejnotów pracy jego.

Człowiek to oceni, lub ocenić powinien i uszanować. Umysł tego nie zniesie, nie podoła i częstokroć nie może... Umysł jest niewdzięczny!

*

Jeżeli przyczyna słabości rządu ostatnich czasów leży w całej naturze całego toku dziejów całego narodu przez wszystkie czasy jego, — tedy konsekwencja jest prosta: iż taki proponowany rząd nie musi to być onego to narodu rządem.

Kochanowski gdzieś mówi: „czy delia u kołnierza czy kołnierz u delii".

„Of the two classes of mental and phisical laws (the) mental are the more important for the history of Europe" (Henry Thomas Buckle).

*

Ale ja to tylko dla przykładu i wskazania, jak ogół rozprawy szkodzi aforystycznym drogocennościom, przytaczam i podstawiam. Zaś gdybym nie ograniczał się, nakreślił bym tego sporo i szerzej o wiele!

Nie podzielam zdania tych, co mniemają, iż końcem końców należy mieć uznanie dla jedynego chociaż pióra, które na konkurs odpowiedziało przecie. Nie podzielam tego motywu z przyczyny, iż trzymam, że ta rozprawa (poza ogółem swoim, niedość szczęśliwym) ma wartości znakomite i niezależne od tego, że była jedną rozprawą, albo prawie jedną.

Jest to, moim zdaniem, zawsze wyższe od wielkiej a wielkiej mnogości historycznych prac polskich, lubo we wielu rzeczach absolutnie się z niektórymi pojęciami tam rozwijanymi różnię, a wiele też za drogocenne uznaję.

Twój

1870. **Cyprjan Norwid.**

Data listu ze stempla pocztowego. — uwagi Norwida odnoszą się do rozstrzygniętego świeżo konkursu ogłoszonego przez Towarzystwo Histor.-Literackie na dzieło p. t. „O przyczynach słabości rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach (XVII i XVIII)". Rozprawę pod tym tytułem, wydrukowano w „Roczniku Tow. Hist.-Liter." za r. 1869; o niej zapewne mowa w liście. Nagrodę Przyznano dziełu W. Kalinki „Ostatnie lata panowania St. Augusta". — Cytat angielski („z dwóch szeregów praw, mianowicie duchowych i fizycznych, prawa duchowe są większej wagi dla dziejów Europy") wzięty z dzieła H. T. Buckle „History of civilisation in England" Lipsk 1865, I. 144.

22.

(Paryż, maj 1870).

Kochany mój Bronisławie!

Odebrałem sprawozdanie i kilka słów twoich. List mój ten na trzy rozkłada się paragrafy:

§ 1.

Żal, że cię okradli, mogę tylko wynurzyć tym prawdziwym sposobem: Nic wyraźniejszej boleści nie sprawuje, jak te rzeczy, które zupełnie tyle są tragiczne i smętne, ile śmieszne. Cóż doprawdy smutniejszego, jak gdy okradną w emigracji, gdzie i kwestia guzika, nie tylko odzienia całego, bywa kwestią żywotną. Cóż smutniejszego? A zarazem cóż śmieszniejszego, jak — emigrant okradziony! To brzmi na jakiś tytuł zagraniczny, to coś jakby: dekorowany, albo: porządny człowiek etc. Albowiem przypuszcza się, że mógł być okradzionym! Że więc zupełnie tyle to jest śmieszne ile smutne, — tedy ściśle o tyle łzę ile uśmiech powołuje, tedy jest naturalną konwulsją i boleścią.

§ 2.

Z wielką usilnością proszę cię, abyś raczył poświęcić chwilę namysłu i rozejrzenia dla mnie w rzeczy i interesie następującej wagi i osnowy:

Według konstytucji właściwej domowi lipskiego Brockhausa nie może on płacić autorom, tylko dnia i godziny naznaczonej. Ten dzień i ta godzina że nie były i nie mogły być z moim zgodne zegarem, napisałem raz do niego, iż niepodobna być zarazem emigrantem i porządnym człowiekiem i że czekać przyzwoicie nie potrafię. Na to Brockhaus, który mię ani widział nigdy na oczy swe, ani warunków smętnych znać ma obowiązek, odpowiedział mi natychmiast wekslem swoim na księgarza Franka, a szło o pięćset franków.

Według kwitu formalnego z dnia 22 listopada danego mojemu pełnomocnemu R. Libraire du Luxembourg (commision) obowiązuje się do dnia 22 listopada zeszłego zdać rachunek mnie należny, a obejmujący 836 franków. Kwit ten jest z podpisem: Klimontowicz, a rachunek do podania 1 stycznia 1871.

Czy myślisz, że p. Mickiewicz w bardzo porównaniem mniejszej części zechce mi na ten rachunek dziś, to jest tych dni, zaliczyć jakie sto pięćdziesiąt?

That is the question...

Powiedz, proszę cię, czy podobieństwo jest, ażebym o tym nie myślił, nie tylko dlatego, że literalnie wszystkiego mi teraz brak, a mam obowiązkowe i zatrzymujące się pod ręką roboty — i nic nie mam! Ależ i dlatego także, że doprawdy sprawiedliwie jest, abym się tego mógł w emigracji spodziewać!...

Że zaś na życiu cztery czy pięć razy mówiłem z nim, lubo jeszcze za życia ojca jego miałem przyjemność znać, — przeto osobę znając mało, znam inteligencję i wolę osoby — i ciebie rozważeniem tego mego koniecznego pomysłu a jedynego planu utrapiam.

Jak to ważne jest, zobaczysz na maleńkim zwitku, ołówkiem nakreślonym.

§ 3.

Woli dobrej, czasowi i sposobności (jeżeli za słuszne uznasz) zostawiam dopowiedzenie do słów moich, rzeczonych Księciu, — że filozofijny pogląd dziejów na skalę publicznego zgromadzenia ważny jest tym więcej teraz. Nie trzeba sobie kryć, że w tych dniach jeszcze raz Europę zbawia system parlamentarny. Nie trzeba sobie zakrywać, że na dnie tego, co się tu dzieje, jest na całym kontygencie republika uniwersalna socjalna. I więcej powiem: jest ta, która końcem końców b ę d z i e!

Ale ani będzie tymi drogi, ani tymi formy, ani tymi poczuciami i dogmatami, ani tymi gwałty, ani w tych postaciach, — będzie w o w o c a c h. Zaś na teraz ona jest na dnie tego, co widzicie, że burzy się, jest w złym.

Cesarz Francji zrobił w tych czasach sam to, co w roku 1846 zrobił Pius IX i O'Connell.

A gdyby tamtego owego nie zrobił był O'Connell i Papież, to 1848 rok nie byłby tym, czym był, ale byłby abominatio desolationis! To tacy właśnie mężowie, proroczo przesiębierący naprzód, zbawiają, — a nie żandarmy!

Gdyby Papież i O'Connell nie umoralnili zamachów postępu i wolności, to 1848 mimo swoich barykad (dzieciństwo!) nie pozostawiłby zniesienia kary śmierci za przewinienia polityczne, zniesienia piętnowania, więzienia za długi, niewoli murzynów i biczowania na koloniach francuskich etc., etc., etc.

Oto obraz powietrza politycznego dziś. Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słuchać raczy!

Paryż, maj 1870.

Cyprjan Kamil Norwid.

Ustęp trzeci listu mówi o zamierzonym, ale niedoprowadzonym do skutku, zamiarze wystąpienia Norwida z odczytem publicznym o treści historiozoficznej; do zamiaru tego powracał on parokrotnie, ostatnio jeszcze w roku 1876, (zob. „Z korespondencji C. Norwida: Listy do ks. A. i Wł. Czartoryskich", Kraków 1936, str. 18). Tutaj dowiadujemy się nieco o idei wytycznej tego zamierzonego „filozofijnego oglądu dziejów"; wyrażała się ona w postępowym wzroście wolności społecznych, parlamentaryzmu i republikanizmu. Napoleon III od r. 1864 wszedł był na drogę reform liberalnych, dopuszczających wolność prasy, krytykę rządu, wolność stowarzyszeń i t. p.

---

nie co jest bardzo mało prawdopodobne nastąpiła wbrew twierdzeniu Hoesicka, zmiana programu. Hoesick niestety nie podaje źródła swej wiadomości. — Drugi program a właściwie zawiadomienie o wspomnianym wyżej koncercie jest treści następującej: „Monsieur Chopin Begs to announce that his Matinée Musicale will take place on Friday, June 23 rd, 1848, at No 99, Eaton Place; on which occasion he will perform several of His latest compositions. To commence at three o'clock. Tickets, limited in number, one guinea each, also particulars, to be had at Cramer, Beale, and Co's, 201, Regent Street"..

1) Jako przykład podam, że w wydanym w 1930 r. katalogu antykwarskim znanej firmy L. Liepmannssohna cena autografu Ballady g-moll op. 23 wynosiła 12.000 marek niemieckich. Dodać tu muszę, że cena ta jest najwyższą w tym katalogu w którym znajdujemy również autografy n. p.: Mozarta (8.000 marek) Brahmsa, Beethovena i in.

2) Opublikowane po raz pierwszy w Kalendarzu I. K. C. na r. 1937.

3) Zofia Rosengardt wyszła za mąż w 1846 roku za Bohdana Zaleskiego.

4) Był to ostatni koncert Szopena w Paryżu.

5) F. Hoesick: Chopin. Warszawa 1927 T. II. s. 403-4.

KS. Dr F. MACHAY

Katolickie pojęcie własności

Własność jest prawem wyłącznego posiadania jakiejś rzeczy. W tym zrozumieniu właścicielem jest tylko Bóg, do którego należy według Psalmisty niebo i ziemia. Człowiek przez Boga stworzony nie może żadnej rzeczy posiadać w sposób tak wyłączny, co jednak nie oznacza, że człowiek nie może być właścicielem w pewien sposób. Bóg stworzył nas na Swój obraz i podobieństwo i wlał w serce człowieka nieugaszone pragnienie władania najdoskonalszego, tj. **posiadania Boga.** Komu Bóg przypadł w udziale, ten nie przylgnie do martwych rzeczy stworzonych. Św. Paweł wypowiada się na ten temat w mocnych i szczerych słowach: „Wszystko poczytam za szkodę dla wysokiego poznania Jezusa Chrystusa, Pana mego, dla którego wszystko porzuciłem, i mam sobie za gnój, byle Chrystusa pozyskać" (Fil. 3, 8.). Św. Franciszek z Asyżu postąpił nie mniej „radykalnie", gdy przed sądem biskupim zrzucił z siebie ubranie otrzymane od ojca, oświadczając, iż nie chce niczego posiadać od ojca ziemskiego, co by mu przeszkadzać miało w miłowaniu Ojca niebieskiego. Majątki i bogactwa świata materialnego jakby nie istniały dla człowieka, który podobieństwo do Boga rozwinął w sobie w stopniu wysokim. Lecz postaci Pawła lub Franciszka jest minimalna liczba; są to geniusze posiadania: ich własnością i równocześnie treścią jest Bóg. Miliony współobywateli Pawła i Franciszka są przykładami kompromisu zawartego między umiłowaniem Boga i mamony. Im kto mniej posiada i miłuje Boga, tym więcej szuka „dóbr" Bogu przeciwnych na własność; a człowiek wyzuty z Boga całą miłością ukocha mamonę.

Gdy katolik przy takim świetle s w o j e j wiary rozpatrzy naczelne hasło liberalizmu i zrodzonego przez liberalizm socjalizmu... musi mu się chyba zrobić „niewyraźnie". Bo jakżeż brzmi to hasło? **Celem pracy człowieka jest zysk materialny,** a nie — coraz większe udoskonalanie osobiste i nie — z dnia na dzień głębsze posiadanie Boga. W „ożywczych" prądach gospodarczych materialistycznego i ateistycznego liberalizmu ukrywała się moc, która wyzwolonego politycznie (1789) człowieka rzuciła w gorszą niż była poprzednia, niewolę mamony. Oswobodzony z „krępujących" praw Bożych człowiek został obdarzony prawem wolnej konkurencji, która świat rychło zamieniła w dwa obozy: pierwszy z nich jest mały ale zasobny nie tylko w umiłowaniu mamony, lecz i wyposażony w nią; drugi zaś obóz jest olbrzymi, który również namiętnie kocha mamonę, ale jej mało, bardzo mało, albo zgoła nic nie posiada. Nic dziwnego, że postęp, ustawodawstwo, administracja w tym kierunku się najwięcej wysilają, by zabezpieczyć beztroskie panowanie oraz używanie mamony, a Bóg i Jego prawa coraz śmielej i zuchwalej są rzucane poza nawias życia człowieka — na obraz Boży stworzonego.

Człowiek wykuwa pracą i życiem na przedmiotach własności znamię swojej osobowości. Najwyższym ideałem twórczości katolika jest wyrycie podobizny Chrystusa w duszy swojej — twórczość największej godności i wolności, którą wykonują katolicy — bohaterowie — święci. Skala twórcza katolików — niebohaterów, jest bardzo szeroka, niezależnie od kompromisu zawartego między wiarą w Boga a wiarą w mamonę. Dla człowieka, mniej lub więcej od typu katolika — bohatera odchylonego, własność rzeczy materialnych przedstawia — w odpowiednim stopniu do odchylenia — zabezpieczenie godności i wolności. Człowiek, który ma swój majątek, posadę, stałą pracę i stałą pensję, w świecie natury skażonej wolniej i godniej się porusza oraz ochotniej pracuje. Chyba że należy do rodziny duchowej św. Pawła lub Franciszka; ale tacy ludzie i w posiadaniu są „ubodzy duchem". Dla olbrzymiego morza szarego tłumu ludzkiego posiadanie czegoś na własność jest pewnego rodzaju wymaganiem natury. Pius XI w encyklice „Quadragesimo anno" określił to trochę inaczej: „Natura jest źródłem własności". Teza bardzo doniosła. Jeżeli bowiem potrzeba własności dla człowieka wypływa z natury, jako ze swego źródła, to własność należy się każdemu człowiekowi.

W świetle tej tezy, jakże się przedstawiają krzyki obrońców w i e l k i c h w ł a s n o ś c i, że im się krzydwa dzieje... i nie można ruszać ich majątków, bo przecież prawo własności według nauki Kościoła z prawa natury się wywodzi! Są to krzyki świętoszków. W imię bowiem godności i wolności człowieka „kompromisowego" należy dążyć — n a p o d s t a w i e n a t u r y — do obdarzania własnością jak największej ilości ludzi. Reforma rolna, udział w zyskach przedsiębiorstw, kopalni, towarzystw i spółek akcyjnych, banków i kas oszczędnościowych, ubezpieczenia społeczne i t. p., to są wszystko nowoczesne sposoby rozszerzania własności prywatnej i zasypywania zawrotnych przepaści między ludźmi.

Nauka Kościoła przychodzi ludzkości z wielką pomocą w bardzo trudnej i zawiłej sprawie uwłaszczenia jak najszerszych mas ludowych. Ze Stolicy Piotrowej odezwał się bowiem głos, że własność prywatna posiada charakter podwójny: „indywidualny, czyli służący dobru jednostek, i społeczny, czyli mający dobro publiczne na względzie". Pius XI podkreśla w enc. „Quadragesimo anno", że „prawo własności otrzymali ludzie od natury, t. j. od samego Stwórcy w tym celu, by z jednej strony każdy człowiek mógł zaspokoić potrzeby osobiste i rodzinne i by z drugiej strony dobra materialne, które Stwórca przeznaczył na użytek wszystkich ludzi, rzeczywiście temu celowi za pośrednictwem prywatnej własności służyły". Jak się to ma stać? Ludziom posiadającym Kościół pozwala z majątków swych zaspokajać potrzeby życia stosownego i na poziomie, ale to, co zbywa poza stosownością i poziomem, każe oddać na użytek potrzebujących. Oczywiście, przy ustalaniu „poziomu" i „stosowności" potrzebne jest zrozumienie nie tylko własnych wygórowanych potrzeb, lecz i zrozumienie nędzy człowieka, żyjącego poniżej godności i wolności ludzkiej. Przy ustalaniu s t o p y życiowej wychodzi na jaw, kto i w jakim stopniu jest wyznawcą Boga, czy też mamony.

Dla ludzi szanujących prawo natury Pius XI wskazuje trzy sposoby oddawania nadwyżki. 1) wspieranie ubogich datkami osobistymi, czyli jałmużnę, 2) popieranie różnego rodzaju dzieł miłosierdzia i 3) wspaniałomyślność, która w zrozumieniu Ojca św. oznacza tworzenie nowych warsztatów pracy dla wytwarzania dóbr prawdziwie użytecznych.

Są ludzie, którzy wyrzekają się przymiotów wolności i godności dla wyższych celów i żyją w ślepym posłuszeństwie i bez przywiązywania wagi do godności osobistej. Są to o f i a r y d o b r o w o l n e celem przyspieszenia doskonałości osobistej; Chrystus dkupił świat O f i a r ą, zatem i ci, którzy Go naśladują, składają u Jego stóp drogocenne ofiary. Tak czynią ludzie w zakonach żyjący.

Teoretycznie jest zatem możliwe i państwo, którego obywatele wyrzekliby się ofiarnie wolności i godności osobistej, ale takie państwo musieliby zamieszkiwać — jak mówi św. Jan Złotousty — obywatele aniołowie. I dopóki się ludzie religijnie nie odrodzą i duchowo nie podniosą na te wyżyny, własność prywatna będzie zawsze odgrywała rolę bodźca do pracy twórczej, i będzie lepiej chroniła tak zw. „dóbr" materialnych od rozrzutności złej gospodarki, niż to uczyni n a r z u c o n a w ł a s n o ś ć w s p ó l n a, która stworzyła w Rosji nowy okres niewolnictwa z despotycznym kultem antyboga — mamony na czele.

IRENA TUROWSKA.

Fabian Birkowski jako kaznodzieja

(W trzechsetną rocznicę zgonu)

„...A waszci to był kaznodzieja Krakowianie, Wam też ja obraz jego ukazuję i oddaję za śliczną i jedyną miasta tego gwiazdę. Wam, bo najdłużej w Krakowie pracował, tu począł, a u fary w kościele Najświętszej Panny pracować przestał" — te słowa wypowiedział dnia 10 grudnia 1636 roku, jezuita Adam Makowski, w swym kazaniu wygłoszonym na pogrzebie Fabiana Birkowskiego, sławiąc zasługi zmarłego, jako kapłana, człowieka i dobrego obywatela.

„I nie na milę tylko ojca Fabiana słyszeć było, ale jeszcze po wszystkiej Polsce, i Litwie, i Moskwie i dotąd jeszcze nie umilkł, ani ochrypiał" — mówił Makowski rozważając działalność Birkowskiego i porównując jego zasługi z zasługami Skargi.

Oceniając z perspektywy trzech wieków Birkowskiego jako kaznodzieję, widzimy, że pod wieloma względami nie dorównał Skardze, bo nie posiadał ani takiego wykształcenia, ani rozumu politycznego, również brakło mu takiej gładkości stylu i siły przekonywania słuchaczy. Zajął jednak bardzo zaszczytne miejsce nie tylko w historii literatury polskiej, przede wszystkim dzięki swym kazaniom obozowym, które wygłaszał na polu bitew, — kazaniom triumfalnym, w których radował się ze zwycięstw polskiego oręża nad Tatary, Turki i Szwedy, i wreszcie dzięki kazaniom pogrzebowym, w których opłakiwał śmierć takich wodzów, jak Karol Chodkiewicz, albo takich rycerzy bez bojaźni i skazy, jak imci Bartłomiej Nowodworski, Krzysztof Zbaraski, Stefan Chmielecki.

W kazaniu, które miał na pogrzebie Piotra Skargi wyliczył Birkowski zalety dobrego kaznodziei, mówiąc: „Pierwsza ozdoba jest dobrego kaznodzieje, iż w oczach ludzkich porywa jako ogień", gdyż „jasnością swą przeraża oczy ludzkie, bądź to dla nauki, która światłością jest, bądź dla czystości, którą powinien być objaśniony, bądź dla poselskiej persony, którą na sobie nosi, a ta wielmi prześwietna jest".

Tak szczytnie pojmując zadania kaznodziei zdawał sobie Birkowski sprawę, jak trudno podołać temu zadaniu, osiągnąć ten ideał. „Trudne to — powiada — dzieło kaznodziejskie i rzemiosło frasowite, na karki pańskie rękę swą położyć a z nich swawolę, która łańcuchy swe otoczyła zepchnąć". Mimo to nie uląkł się Birkowski tych trudów i, zanim zasłynął jako kaznodzieja obozowy, piastuje godność nadwornego kaznodziei królewicza Władysława Wazy w latach 1611—1634, przemawia do możnych, gromi ich serca nielitościwe w stosunku do biednych, potępia odstępstwa od wiary.

Służba jednak na królewskim dworze nie odpowiadała bujnemu, szczeremu, usposobieniu Birkowskiego; jego otwarta, prostolinijna natura oburzała się na zakulisowe intrygi życia dworskiego, które przejmuje go wstrętem i goryczą.

W kazaniu na dzień św. Jana Kantego pouczając młodzież, by ani na „paznokieć nie odstępowała od wiary", przestrzega również przed ułudnymi powabami życia na dworze wielkopańskim. „Więc do dworu nie bardzo — powiada — radzę panowie młodzi. Dymy te dworskie prędko wam głowę zarażą... Ale, iż tak rozumiecie, iż smakowniejszego nie ma nad polewkę dworską, owaście koniecznie nato udali, abyście służyli; moja rada, żebyście poszli na dwór Wielkiego Pana, nad którego świętszego nie najdziecie — służcie Panu Bogu".

Sam czynił to Birkowski całym swym życiem; gorąco przywiązany do Kościoła, a po Bogu Polskę najwięcej miłujący, swe duszpasterskie obowiązki pełnił z całym poświęceniem i wielką gorliwością.

W swych kazaniach na niedziele i święta poruszył prawdy i tajemnice wiary, dawał nauki moralne, stosując je do potrzeb codziennego życia i w ten sposób oddziaływał na masy wiernych, budził gorliwość wśród tłumu. Największym jednak tytułem do sławy Birkowskiego są kazania, które wygłaszał nie w kościele, ale pod gołym niebem, na polach walki.

Tak, jak Skarga w czasie pokoju kazał do zgromadzonych senatorów, tak Birkowski żyjąc w epoce, kiedy nad Rzeczypospolitą płonęły łuny wojenne od północy i wschodu, przemawiał do żołnierzy.

Nie lękał się obozowych niewygód, tułał się z taborami, cierpiąc niejednokrotnie głód, patrząc, jak ludzie „szkapy" obdzierali ze skóry nie mając innej żywności, brał bezpośredni udział w wojennych trudach i wołał z niesłabnącym zapałem: „nie tylko bogata jest wojna o krzyż, ale i prześliczna" (jakże dziwne wydadzą się te słowa dzisiejszym pacyfistom, a warto je zapamiętać).

W duszy Birkowskiego pochodzącego z rodziny kresowej lwowskich mieszczan, uczucia religijne ściśle zespoliły się, z patriotyzmem, rozpłomieniając jego kazania do żołnierzy rycerskim ogniem, gotowością walki. I nic dziwnego. Pamiętajmy, że epoka w której żył, stała pod znakiem wojen o charakterze religijnym, że na Polskę napadali wówczas Szwedzi, protestanci, że pustoszyli ją Turcy, Mahometanie i Tatarzy, że od Wschodu groził jej zalew schizmy i — jakże wobec tych wypadków mógł patrzyć obojętnie, i żyć spokojnie w celi klasztornej człowiek tego pokroju, co Birkowski! I nie patrzył spokojnie, ale budził ducha narodowego, krzepił nadzieją zwycięstwa słabnące szeregi, a w chwilach triumfu polskiego oręża w hymnach dziękczynnych wielbił Boga i składał hołd wielkim wodzom i męstwu rycerzy.

Często w swych przemówieniach obozowych jest szorstki, gwałtowny, rubaszny nawet, gdyż uważał, że „słowa kaznodziejskie powinny być jako skry, albowiem tych, których serca tkną, zażalają", zaś gardła kaznodziejskie porównywał do trąby rozbrzmiewającej na polu bitwy, która „w sobie nie ma nic pieszczonego, chrapliwie brzmi, na trwogę raczej, niż w taniec... wojska rozbija, hufce łamie, cuda wielkie na wojnach w koniach, w ludzie robi".

W obozowych i pogrzebowych kazaniach Birkowskiego odnajdujemy te właśnie „grzmiące" cechy. Niesłychanie plastyczna i żywa wyobraźnia, rycerski animusz i wiara w głoszone ideały — sprawiały, że musiał porywać słuchaczy, czy to gdy cieszył się ze zwycięstwa odniesionego pod Chocimem gromiąc butę turecką a przeciwstawiał jej męstwo polskich rycerzy, czy też gdy triumfował nad klęską nieprzyjaciół w kazaniu „Kantymir basza porażony", lub „Nagrobek Osmanowi", gdzie dał upust swej fantazji i gorącemu sercu.

Z prawdziwą rozkoszą wymyślał nieprzyjaciołom Krzyża. W natchnieniu jak starodawni biblijni prorocy modlił się wielkim głodem: „Uderz Panie, w nieprzyjacioły Twoje, które bluźnią imię święte Twe, które krzyże Bożej Męki po gościńcach wycinają, kościoły łupią, aby i pamiątki nie było drogiego okupu przez krew Twoją najdroższą, Chryste Jezu w Koronie naszej".

Gniewając się i potępiając nieprzyjaciół Chrystusowych, innowierców i karcerzy nie zamyka również Birkowski oczu na wady rycerstwa polskiego; chociaż tak bardzo żołnierza ukochał to przecież z całą surowością gromił rabunki, łupiestwa popełniane wśród ludności cywilnej, piętnuje rozpustę i boleje niezmiernie nad upadkiem pobożności.

Dedykując Bartłomiejowi Nowodworskiemu Kazanie na dzień Nawiedzenia Najśw. Panny ze smutkiem powiada, iż nie słyszał „tych Polaków gdy do potrzeby idą, aby Bogarodzicę śpiewali, raczej więc jako wilcy hukali na nieprzyjaciela".

Birkowski nie potrafi ukryć swej pogardy dla nieprzyjaciół; wyobraźnia i uczucie ożywiające jego kazania sprawiają, że jest szczery i bezpośredni, że tak jak słusznie powiedział Kazimierz Brodziński „zdał się zatrzymać całą pierwotną nieokrzesaną energię wieków średnich i entuzjazm kaznodziejski, jakim zakon jego zasłynął wkrótce po wojnach krzyżowych.

Gdy dziś upłynęło 300 lat od śmierci Birkowskiego wartoby się szerzej zastanowić nad jego działalnością, bo trzeba przyznać, że o ile Skarga stał się przedmiotem wielu szczegółowych badań i studiów krytyczno-literackich, to pisma Birkowskiego pozostały szerszemu ogółowi niemal nieznane. Oczywiście wobec Skargi zasługi Birkowskiego i jego talent kaznodziejski przygasają, ale przecież jego gorliwość w służbie Bożej i umiłowanie Polski są nie mniejsze, niż u Skargi.

Birkowski w swych kazaniach jest wzniosły i wspaniały, raz groźny to znów rzewny, ale jest także rozwlekły, niezrozumiały, gubi się w zawiłych porównaniach obok erudycji teologicznej, szafuje często ni stąd ni zowąd obficie mitologią, dając zupełnie nieoczekiwane zestawienia — słowem w każdym calu jest przedstawicielem swego wieku, który wydał Kordeckiego i Chodkiewicza w historii, ale i wieku, który w literaturze polskiej zapisał się brakiem poczucia artystycznej formy i estetyki.

W przeciwieństwie do Skargi, którego pamięć w naszym społeczeństwie jest tak żywa, Birkowski do dziś dnia pozostał w cieniu swego wielkiego poprzednika na ambonie.

KUPON Nr 39.

ważny do dnia 15 I-37 r.

Rozrywki umysłowe Nr 39

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Konkurs Świąteczny

ZADANIE 1.
ARYTMOGRAF ŚWIĄTECZNY.
ul. N. K. Kozłowski, czł. Kl. Szar.



Posługując się podanym kluczem, pomocniczym, po odgadnięciu wyrazów wstawić litery zamiast cyfr i odczytać rozwiązanie.

ZADANIE 3 — SZARADA — W WIGILIĘ.
uł. „John Ly" — Czł. Kl. Szar.

Przy wigilijnym skromniutkim stole
siadamy i **czwór-pięć** wieczerzę.
A przy opłatku o jaśniejszą dolę
dla wszystkich modlimy się szczerze.

Choć los **raz-siódmo** wciąż na nas spoziera
my śmiało z nim stajem do boju.
Drugi-raz przyszłość wcale nas nie zbiera,
bo w walce tej Bóg nam ostoją.

Wspak siedem-szóste losy się nie trwożym
nie z **trzeciej-piątej**, a z wiary,
że nie traf ślepy, lecz porządek Boży
w człowiecze się wciela zamiary.

Sześć własnej pracy i trudzie my ziemię
zdołamy znów w Eden zamienić,
gdy Bóg, co na świat zstąpił w Betleemie
użyczy nam łask Swych promieni...

Pod drzewkiem z dziatwą **pierwsze-ósme** czynim
i wszystko: „Hej! w dzień Narodzenia..."
A Boski uśmiech Jezusa-Dzieciny
mrok nocy w cud światła nam zmienia.

ZADANIE 4. — SZARADA ZZA OCEANU.
uł. B. K. — Hollywood.

Raz-pół dwa gna myśl skrzydlata
w najdalsze zakątki świata,

ZADANIE 2.
REBUSIK GWIAZDKOWY.
uł. M. Zawadzki — Kraków



śląc ninie dary miłości,
raz-dwa i wiele radości.

Czwór-sześć zwyczaj jest jeden,
że dla **raz-dwa** się **czwór-siedem.**
Taka **pięć** godna uznania
w sercu budzi pożądania,

by choć w **pięć-trzy** do **raz-drugie**
prawo sobie **półraz-siedm i -ć.**
W wieczór **sześć-dwa** siądziem sami
z pastuszkami, barankami,

pół pięć-trzy wspak szóste trzecie
zrobim wielkie **drugie-szóste,**
nim okolim w żłobku Dziecię,

kolędy mając na ustach.

A z serca Rodakom w dani
Całość, całość powtarzamy.

Rozwiązanie powyższych zadań należy przysłać do dnia 15 stycznia roku przyszłego pod adresem Redakcji, dla Działu Rozrywek Umysłowych. Ważna data stempla pocztowego. Za poprawne rozwiązanie przeznacza Redakcja jako nagrodę ozdobny kalendarz stojący, wydawnictwa Muzeum Narodowego w Krakowie.

P. S. Przy nadchodzących Świętach Redakcja przesyła PP. Czytelnikom życzenia serdeczne zdrowia i pomyślności.

—:o:—

SZARADA
NIESPODZIANKA ŚWIĄTECZNA.
uł. M. Zawadzki, Kraków.

Kierowniczka działu „Rozrywek Umysłowych" wybaczy redakcji „Głosu Narodu", że się wtrąci w dział, który jest w jej wyłącznym władaniu. Ale trudno! Robimy to na życzenie licznego grona naszych szaradzistów, z którego pochodzi zamieszczona poniżej szarada. Nie my jesteśmy winni, pani Kierowniczko! Winowajców prosimy szukać poza redakcją!

Redakcja „Głosu Narodu".

Cicho — **raz,** Panowie! Bo nie mówiąc nikomu,
nawet pani **Siedem-osiem-dziewięć i dziesiątej,**
wchodzę na te łamy całkiem pokryjomu, —
lecz w **Całości** znajdę usprawiedliwienie,
że nie mając wcale Jej **piątego —**
drugiego, puszczam wodze szaradowej wenie.

Nić **pierwsza-druga** naszego **żywota**
przerywana być musi od czasu do czasu,
więc i teraz przerywa ją **Czternastych** złota
gwiazdka, a stąd obowiązek
trzy się wyłania, by czerpać z zapasu
naszych serc i wzmocnić nasz związek.

Wszystkiego najlepszego wszyscy sobie **pięć-sześć,**
to i my **raz-dwa-trzy-czwarci**
pięć-jedenaste słowa pragniemy nieść,
by jak **dwa-dziesiąte** kolorowe błysły
i taką moc miały, ażeby los czarci
na lepszy **dziewiąty** skierował zamysły.

Jedenastych-dwunastych,trzynastych twarzy
otoczenie, dobry nastrój robi
i przed smutkiem chroni jako szereg straży,
tak, jak piękna **dziesiąta druga**
twarz kobiety zdobi...
Lecz a **jeden-dwa półósma** zadługa;

kończę więc wspak **cztery-wspak dwa-o-jedenaste wzloty,**
szaradzistów **wspak ośm-siódma** poruszyć mające,
życząc Wszystkim najlepiej, aby Ich kłopoty,
opuściły na zawsze od **trzy-aj,** od zaraz,
i aby na tej bujnej naszych smutków łące
wszystkim zabłysło złote słońce naraz!